ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 10(47) • Październik 2009 • Cena 2,00 zł

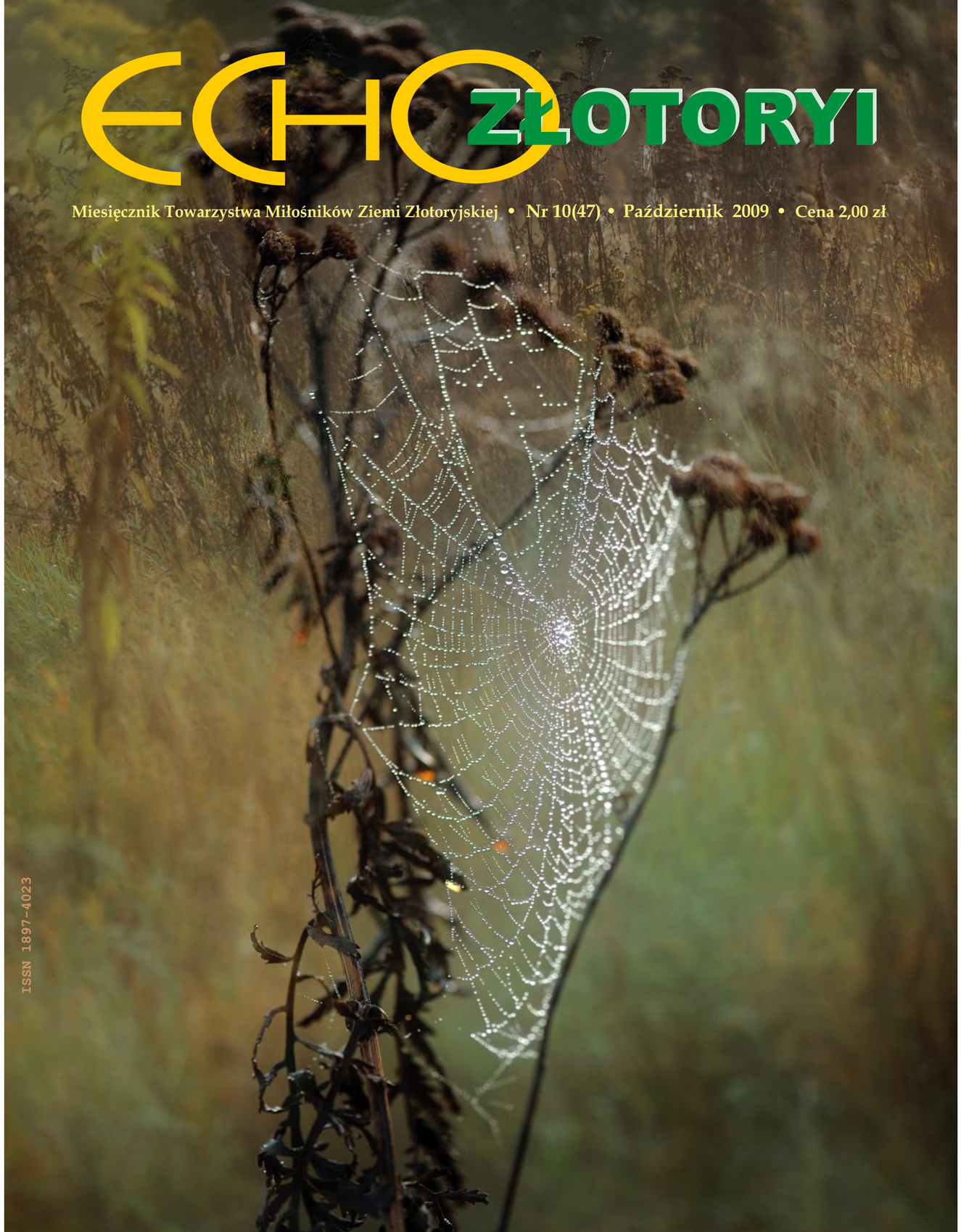

ISSN 1897-4023

Pod niebem Złotoryi

Iwona Pawłowska: Kiedy i jak zaczęła się Pana przygoda z lataniem?

Grzegorz Baran: Oj, bardzo dawno się to zaczęło. Miałem wtedy 15 lat. Najpierw były skoki spadochronowe, potem latanie na szybowcach w aeroklubie jeleniogórskim. Zawsze ciągnęło mnie w górę. Potem była długa przerwa na szkołę i wojsko, ale zaraz trafiłem do kompanii specjalnej 62. w Bolesławcu. Ta taka słynna kompania czerwonych beretów. Wtedy znowu mogłem robić to, co lubię, czyli skakać z samolotu.

I.P: Trudno było się dostać do czerwonych beretów?

G.B: To jest jednostka elitarna i były pewne obostrzenia. Trzeba było mieć wykształcenie średnie, trenować skoki spadochronowe, najlepiej jeszcze sztuki walki, np. karate.

I.P: Nie chciał zostać Pan w wojsku jako zawodowiec?

G.B: Nie, wolałem wyjechać na Zachód. Byłem tam ładnych parę lat. Jak wróciłem, otworzyłem mały biznes, potem większy…Ale wciąż ciągnęło wilka do lasu, czyli w powietrze. Najprostszym i najtańszym sposobem, by się wznieść w górę, była paralotnia. Wcześniej jeździłem w górki polatać na lotni bez napędu, z samym żaglem. Potem dokupiłem napęd na plecy. Z takim wyposażeniem człowiek potrzebuje tylko kawałek łąki nieograniczony ani drzewami ani linią wysokiego napięcia, ani budynkami i już może latać.

I.P: Jak wygląda start paralotni?

G.B: Start wygląda bardzo prosto. Najlepiej, jakby były jakieś wzniesienia, ale przy dobrym napędzie i technice może być zupełnie płasko, a wtedy po 10 – 20 krokach już się jest ponad ziemią.

I.P: Trzeba biec czy wystarczy iść?

G.B: Trzeba się rozpędzić, by skrzydło weszło na kąty natarcia powietrza **.** Dodatkowo paralotniarz ma w ręku manetkę gazu i tym dodaje mocy. W konsekwencji skrzydło wypełnia się powietrzem. Teraz są już skrzydła samostateczne, czyli takie, które jak dostaną powierza w swoje komory, to się usztywniają. Nie są to typowe 'szmaty". Napęd od silnika (9 tysięcy obrotów na minutę) nie zaburza struktury skrzydła.

I.P: Rozumiem, że ten cały napęd i skrzydła są przyczepione do pleców paralotniarza, więc to pewnie dużo waży?

G.B: Razem z paliwem około 30 kilogramów. Na paliwo jest specjalny zbiornik podczepiony poniżej silnika. Przynajmniej ja tak mam. Wiem, że są napędy ze zbiornikiem powyżej silnika, ale zdarzały się już sytuacje, że występowały przecieki i wtedy paralotniarz zamieniał się z pochodnię.

I.P: Na ile godzin lotu starcza paliwa paralotniarzowi?

G.B: Na 2 do 3 godzin. Wszystko oczywiście zależy od zbiornika. Taki zbiornik o pojemności 8 -10 litrów umożliwia lot do 2,5 godziny, ale są też większe 14 litrowe. Tylko mają jedną wadę – ciężar.

I.P: Zabrakło już kiedyś Panu paliwa?

G.B: Tak, zabrakło. Lecieliśmy kiedyś do Bolesławca i musieliśmy przebijać się pod wiatr. Zużycie paliwa wtedy jest spore. Na dodatek zaczęła aura fiksować i trzeba było wracać. Jakieś 8 kilometrów od lotniska na wysokości 60 metrów usłyszałem ciszę. Już wiedziałem o co chodzi. Wtedy szybko rozejrzałem się, gdzie można lądować i tylko na tym manewrze się koncentrowałem, bo lądowanie nie trwa nawet minuty.

I. P: Jak wysoko możecie latać?

G.B: Różnie, na naszym terenie latamy na wysokości 100 - 150 metrów. Można też wyżej, ale tym jest problem, bo kiedy chcemy wznieść się wysoko, a sprzęt to umożliwia, to przeszkadzają przepisy. Wszystko musimy zgłaszać do kontroli lotów i uzyskać pozwolenie. Są też strefy bezwzględnie zakazane dla nas, np. obszary wojskowe, uzdrowiska, parki narodowe. Mamy przy sobie GPS-y, wariometry i wiemy, na jakim obszarze i na jakiej wysokości się znajdujemy, więc nie ma możliwości, by naruszyć te strefy. Często latamy nad naszym powiatem lub w okolicach Bolesławca, a te tereny dobrze znamy, i nawet nie potrzebujemy nawigacji. Ale jak sie leci gdzieś dalej, to trzeba sobie wytyczyć trasę i uzyskać zezwolenie, żeby wejść na wysokość 200 – 300 metrów. Ale nie o wysokość lotu zwykle chodzi, czasem niżej jest lepiej ze względu na widoki, a te są najpiękniejsze już ze 100 metrów.

I.P: Mówi Pan, „latamy", to znaczy, że jest was kilku.

G.B: O tak, mamy małą grupę paralotniarzy w Złotoryi i okolicach. Na początku długo byłem sam, potem dołączył do mnie Tomek Dynerowicz, który wcześniej skakał w Trawersie i latał w aeroklubie jeleniogórskim. Później przyjęliśmy „pod swoje skrzydła" Radka Tkaczyka, byłego akrobatę, który wciąż potrzebował adrenaliny. Dołączyli też do nas koledzy z Bolesławca, jeden z nich to żołnierz czerwonych beretów. Przylatują do nas gościnnie paralotniarze z Lubania, Zgorzelca. Czasami my do nich lecimy. Spotykamy sie na wspólnych imprezach. Przymierzamy się do tego, aby zarejestrować stowarzyszenie i może w przyszłości organizować w Złotoryi lub okolicach mistrzostwa w lataniu na paralotniach. Marzy nam się impreza, która na stałe wpisałaby się do kalendarza paralotniarzy. Przy okazji w tym miejscu chciałbym zaprosić wszystkich, którzy mają ochotę polatać, a nie wiedzą, jak się do tego zabrać, by kontaktowali się ze mną lub kolegami i nie bali się przyjeżdżać na nasze lotnisko w Łukaszowie. Jesteśmy otwarci na entuzjastów.

I.P: Macie swoje ulubione dni lub pory roku na loty?

G.B: Jesień jest taką najlepszą porą, kiedy płoną ogniska i pachnie dymem. Ciekawie wyglądają łęty po wykopkach i lasy z przebarwionymi liśćmi. Ma to swój klimat. Wiosna też ma urok – żółte pola rzepaków pięknie wyglądaj z powietrza.

I.P: Lata Pan dla tych widoków czy dla adrenaliny?

G.B: Powiem jedno - z tą adrenaliną to nie jest tak jak wszyscy myślą. Dla mnie ważny jest zdrowy rozsądek. On jest na pierwszym miejscu. I warunki pogodowe, które muszą odpowiadać pewnym parametrom, bo inaczej byśmy się nie wznieśli.

I.P: Jakich warunków musicie unikać?

G.B: Zbyt dużych, porywistych wiatrów, turbulentnych warunków, kiedy słońce operuje i wnoszą się takie bąble od nagrzanej ziemi. To jest dobre dla szybowców, żeby kręciły się w kominach termicznych, ale nie jest wskazane dla paralotni. Co prawda można latać, ale trzeba mieć spore doświadczenie, bo jest naprawdę niebezpiecznie. Mieliśmy już kiedyś takie przypadki, kiedy lecieliśmy w fajnych warunkach, my to nazywamy masełkiem, i ni stąd ni zowąd zmienia się nam aura, a wtedy walczymy w powietrzu i myślimy, by wylądować byle gdzie, ale bezpiecznie. Kiedyś przeżyłem chwilę grozy, gdy leciałem z Ostrzycy z kolegą z Bolesławca. Byliśmy na wysokości kolonii Uniejowice, gdy zerwała się wichura. Lecieliśmy na wysokości 80 metrów a wywindowało nas na 600. Nie mogliśmy wylądować.

I.P: I co wtedy?

G.B: Trzeba szybko wyłączyć motor i walczyć, by nie zniosło w niebezpieczna przestrzeń, trudną do wylądowania. Nas znosiło akurat nad Złotoryję. Jednak udało się nam bezpiecznie wylądować w okolicznych wioskach kilka kilometrów od siebie. Potem inny kolega nas szukał do późnych godzin.

I.P: Co Pan wtedy w powietrzu myślał?

G.B: Że będzie dobrze. Poza tym my mamy ze sobą jeszcze „trzy zdrowaśki", czyli spadochron zapasowy. Ale trzeba być na odpowiedniej wysokości, żeby ten spadochron rzucić, minimum 100 metrów. Jak jest niżej, to są nikłe szanse na uratowanie się.

I.P: Jak wygląda lądowanie w normalnych warunkach? Wyłącza się silnik i…

G.B: Jak pilot jest niedoświadczony, to lepiej, by wyłączył napęd dopiero na 50 - 60 metrach i tak podchodził do lądowania. Pod wiatr oczywiście. Trzeba uważać, bo, niestety, często bywa tak, że silnik, który nie ma sprzęgła odśrodkowego i cały czas kręci śmigłem, powoduje wkręcenie się czaszy paralotni albo linek i wszystko ulega zniszczeniu. Tu dodam tylko, że sama czasza kosztuje 2 tysiące euro, więc szkoda pieniędzy na taka przygodę.

I.P: Wcześniej Pan mówił, że jest to tani sport ekstremalny. Tani, to znaczy…?

G.B: Mając już 15 tysięcy złotych można kupić cały sprzęt, nie nowy, ale taki, na którym można wyszkolić się, polatać 2 lub 3 sezony dopóki się nie nabierze wprawy. Wtedy dopiero można zainwestować w coś lepszego. Nie polecałbym kupować od razu nowego, drogiego sprzętu, bo różne przypadki się zdarzają. Ostatnio mieliśmy takie zdarzenie, kiedy człowiek, który zainwestował około 30 tysięcy w sprzęt, w swoim trzecim locie zrobił podstawowy błąd w pilotażu, odpuścił sobie gaz, dostał tzw. wahadła i przyłożył o glebę. On wyszedł cało, ale sprzęt był do niczego.

I.P: Do latania na paralotni potrzebne są jakieś uprawnienia?

G.B: Tak, trzeba zdobyć uprawnienia, kończąc szkołę paralotniarzy. Zwykle polecam szkołę p. Andrzeja Binkowskiego w Mieroszowie. Tam są bardzo fajne warunki do szkolenia: sale wykładowe, sprzęt, przestrzeń do latania. Przez trzy weekendy przyjeżdża się na zajęcia, a potem trzeba przelatać sezon w górach samą paralotnią bez napędu. Potem, jak się kandydat zdecyduje na paralotnię z napędem (PPG), to jest następny kurs motorowy. Żeby nauczyć się latać z napędem nie trzeba jeździć daleko. U nas, w Łukaszowie jest dawne zapasowe lotnisko poradzieckie, na którym można ćwiczyć. To jest fajna łąka, której użyczyła nam gmina Zagrodno, a Zakład Rolny w Łukaszowie pomaga w koszeniu trawy, choć wiele prac wykonujemy sami. Ludzie, którzy przylatują do nas z różnych stron, zazdroszczą nam tego miejsca. A jest czego, bo stamtąd w każdym kierunku można latać, nic nas nie ogranicza. Nie ma budynków, ani linii wysokiego napięcia. Zanim zrobiliśmy w Łukaszowie swoje lotnisko, musieliśmy wysprzątać łąkę po Rosjanach. Czego tam nie było. W paru workach wynieśliśmy części metalowe, samolotów, pocisków, odłamki rakiet, a nawet butelki z chemią (strach byłoby to otwierać).

I.P: Już wiem, jak wygląda sprzęt do latania, a co ze strojem. Na górze jest pewnie dużo zimniej?

G.B: Jest chłodniej niż na ziemi, ale jak przygrzeje słońce, wystarczy pod spód założyć bieliznę termoaktywną, taką jak na narty. Zima dodatkowo zakładam ogrzewane rękawiczki, których akumulator starcza na 2 godziny latania. Był to drogi zakup, ale się opłaca. Koledzy po 40 minutach lądują, bo odmarzają im palce i nawet nie są w stanie wypiąć się z uprzęży, a ja latam dalej. Oczywiście paralotniarz ubiera też specjalny kombinezon lotniczy, który ma dużo kieszeni z przezroczystej folii na wierzchu na wariometry, GPS-y, radia (każdy z nas ma radio, przez które rozmawiamy w powietrzu). Oczywiście na głowę zakładamy kask, koniecznie z atestem do sportów lotniczych. Niektórzy zakładają kaski narciarskie lub rowerowe, ale nie polecam. Na bezpieczeństwie nie można oszczędzać. Mówię, bo wiem. Sam miałem wypadek, kiedy uderzyłem o ziemię a śmigło węglowe uderzyło mnie w hełm. Gdyby nie porządny kask, nie wiem, jak by to się skończyło.

I.P: No to miał już Pan przykre doświadczenia.

G.B: Tak, tak miałem parę przygód, na razie skończyło się to zniszczonym sprzętem i koniecznością noszenia ortezy na nodze przez pół roku. Jednak po miesiącu nie wytrzymałem i kupiłem sobie specjalny wózek na trzech kółkach, do którego przymocowałem napęd i latałem w wózku

I.P: A tak normalnie w jakiej pozycji się leci?

G.B: Jak w babcinym fotelu bujanym . Jest bardzo wygodnie, miękko. Napędy teraz są tak skonstruowane, że nie przenoszą drgań od śmigła na ramę, więc nie odczuwamy dyskomfortu. Hałasu też nie ma, bo tłumią go słuchawki Peltora do łączności.

I.P: Zastanawiam się, co Pana rodzina sądzi o lataniu.

G.B: Przyzwyczaili się. Syn już próbuje latać ze mną. Miał osiem lat, kiedy zawiozłem na zawody spadochronowe w Piotrkowie Trybunalskim i wyskoczył ze spadochronem z 4 tysięcy metrów. Dopiero gdy wylądował, zadzwoniłem do żony i powiedziałem o wszystkim .

I.P: Wiem, że przy okazji lotów robi Pan zdjęcia okolic.

G.B: Nie ma miejscowości w naszym powiecie, której bym nie udokumentował fotograficzne. Mam ponad 2 tys. zdjęć lotniczych. Fotografuję aparatem cyfrowym Sony F828, który mam zamontowany na kasku na takiej platformie. Wyzwalacz uruchamiam pilotem. Oprócz tego zwykle mam zapasowy aparat w ręce, a w zasadzie na smyczy (żeby nie wypadł)

Paralotniarz ma większe możliwości do robienia zdjęć niż lecący samolotem. Moja prędkość jest mniejsza, a poza tym mogę kilka razy precyzyjnie pojawić się w tym samym miejscu.

I.P: Jak wygląda Złotoryja i jej okolice z góry?

G.B: Większość naszych mieszkańców nie wie, w jakich fajnych okolicach mieszka. Ludzie, którzy do nas przylatują z Warszawy lub innych miast mówią, że to bajka. Kiedyś zabrałem ich do Stanisławowa, potem oblecieliśmy Leszczynę, Nowy kościół, Świerzawę, Ostrzycę, zamek w Grodźcu. Byli w szoku, że tak tu pięknie. Jeśli chodzi o latanie, to mamy bogate widoki i górki, i płasko. Wszystkiego pod dostatkiem.

I.P: Są jakieś przeciwwskazania medyczne do latania na paralotni?

G.B: No właśnie nie. Kiedyś trzeba było robić specjalne badania we Wrocławiu. Śmialiśmy się, że przeglądają nas tak skrupulatnie, jakby mieli nas wysłać w kosmos. Teraz już nie ma potrzeby takich badań. Mam kolegę, który jest po operacji biodra i ciężko mu sie poruszać, a też lata. Albo inny przykład - Jędrzej Jaxa – Rożen, który uszkodził sobie rdzeń kręgowy podczas wypadku na Górze szybowcowej w Jeleniej Górze. Facet nie chodzi, ale lata na karbonowym wózku specjalnie dla niego skonstruowanym przez kolegów paralotniarzy z Politechniki Wrocławskiej. Jędrzej z powodzeniem bierze udział w mistrzostwach Polski czy Europy. Osobiście znam trzech takich paralotniarzy jak Jaxa, którzy po wypadkach wrócili do latania. Oni mówią, że już nic gorszego od kalectwa nie może ich spotkać.

I.P: Najpiękniejsza chwila w powietrzu to…

G.B: Była taka chyba rok temu. Lecieliśmy wtedy z Tomkiem Dynerowiczem bardzo nisko (5 – 8 metrów) nad ziemią z Uniejowic nad oczkiem koło Zagrodzieńskiej. Pod nami był wysoki przerośnięty rzepak a z niego wyłaniał się piękny jeleń, za nim drugi, trzeci, czwarty…jak długo żyję, jeszcze tak potężnych jeleni nie widziałem. One oczywiście wypłoszyły się, ale majestatycznie z tego rzepaku próbowały sie wydostać. Jednak był tak gęsty, że zwierzęta miały trudności i przewracały się, a wtedy a na rogi zabierały łodygi. Potem pobiegły w kierunku Pielgrzymki. Mieliśmy też przygodę nad Łukaszowem, ale do pięknych ona nie należy, raczej do dramatycznych. Znowu lecieliśmy dość nisko nad ziemią i zza budynku gospodarstwa rolnego wyleciał znienacka samolot „Agro" Dromader. Nie powinien lecieć ani na takiej wysokości ani w tym miejscu. Zrobiło się nam ciepło. Ocaliła nas zimna krew. Obniżyliśmy błyskawicznie lot. Pilot zobaczył, co się dzieje, przeprosił nas, machając skrzydłami.

I.P: Kiedy paralotnię zastąpi Pan samolotem?

G.B: Myślałem nawet o jakimś ultralekkim samolocie. Już za 160 tysięcy można byłoby kupić,

zachętą jest możliwość odliczenia vat-u, ale byłby problem z hangarowaniem. Legnica już tego nie robi a w Jeleniej Górze nie ma miejsc. Na razie więc bawimy się naszymi szmatolotami.

I.P: Dziękuję za rozmowę i życzę tyle samo lądowań, co startów.

Rozmawiała Iwona Pawłowska
Zdjęcia: Grzegorz Baran

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Elżbieta Łukjańczuk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce:Jesienne pajęczyny w dolinie Kaczawy - fot. Ryszard Masłowski.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.

Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikacje nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiejkolwiek formie.

Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy: I - prenumerata miejscowa (odbiór w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.

ISSN 1897-4023

LUDZIE ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

Złotoryjanka w Nowym Jorku

Przyleciałam 16. stycznia roku 86, samolotem „Tadeusz Kościuszko", jeszcze starym iłem. Nie wiedziałam, jak zrobić pierwszy krok, bałam się wszystkiego, bo normalnie szukamy wsparcia bratniej duszy, a ja nie miałam w Nowym Jorku ani rodziny, ani przyjaciół, Chciałam wrócić da domu, czułam się wyrwana skądś i porzucona. Po przepłakanej nocy pomyślałam, że jeżeli nie pomogę sobie sama, to przecież nikt w tym mieście, gdzie nikogo nie znam, mi nie pomoże. I zrobiłam pierwszą próbę. Wyszłam na ulicę. Kupiłam sobie pizzę. Wyciągnęłam plan miasta, który dostałam od przyjaciół jeszcze w Polsce. Szłam piechotą Piątą Aleją w swetrze tylko, bez płaszcza. Był piękny dzień. Zima, ale piękny, słoneczny dzień. Tak to było na początku, po omacku, jakby na dotyk, na intuicję.

Nowi Nowojorczycy. Portrety Podwójne zdjęciem i słowem. The New Yorkers portaits in Photos&Words. Grażyna Drabik, Jan Hausbrandt, Warszawa 2004.

Jest to opis pierwszych wrażeń spotkania z Ameryką naszej rodaczki, pani dr Danuty Piątkowskiej, która mieszka w Nowym Jorku od stycznia 1991 roku. Ponieważ pochodzi ona z naszego miasta, każdego lata odwiedza rodzinne strony. I tak w tym roku miałam przyjemność poznać ją i porozmawiać o jej życiu i karierze zawodowej.

Urodziła się w Złotoryi. Dzieciństwo to Szkoła Podstawowa nr 1, później Liceum Pedagogiczne w Legnicy. Po maturze rozpoczęła naukę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu na wydziale historii. Zainteresowanie tym przedmiotem rozbudziła w niej ulubiona nauczycielka licealna pani Pachoń. Obecnie uczelnia ma status uniwersytetu. Opole stało się jej miastem do czasu wyjazdu z kraju. Tutaj też mieszka i pracuje jako dyrektor Instytutu Politologii Uniwersytetu Opolskiego jej siostra, profesor Wiesława Piątkowska- Stepaniak . Tematyką emigracyjną zainteresowała się nasza rozmówczyni pod wpływem wybitnego historyka

Promocja książki Polskie kościoły... w konsulacie RP w Nowym Jorku

prof. Andrzeja Brożka. Pod jego też kierunkiem obroniła doktorat na temat *Obraz Ameryki w prasie polskiej na Śląsku w drugiej połowie XIX wieku*. Dodatkowo zebrane materiały do doktoratu, głównie listy, zostały wydane przez wrocławskie Ossolineum w 1980 roku w formie książkowej: *Korespondencja z Ameryki w prasie polskiej na Śląsku (1868-1900)*. Pani Danuta bardzo ciepło wyraża się o swoim profesorze.

- Myślę, że to on pokierował moim życiem, sugerując mi temat emigracji - stwierdza wspominając lata studenckie.

Następną pracą jest wydany jeszcze w Opolu w 1992 roku *Związek Socjalistów Polskich w Ameryce 1900-1914*. Kolejne prace ukazują się już w Ameryce. W 1997 roku opublikowana została monografia zatytułowana *Wyspa Wiary* poświęcona najstarszej, liczącej 125 lat, polskiej parafii na Manhattanie pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika. Temat ten był kontynuowany w albumie historycznym, poświęconym wszystkim parafiom całego miasta, który ukazał się pod tytułem *Polskie Kościoły w Nowym Jorku* w 2002 roku. Jest to bardzo obszerna praca, opisująca dziewiętnaście polskich kościołów rzymskokatolickich, znajdujących się na terenie miasta, zilustrowana pięknymi zdjęciami Wojciecha Kubika Ponieważ jest dostępna w naszej, miejskiej bibliotece, polecam lekturę .Ostatnie wydanie kontynuuje temat. Jego tytuł brzmi *Od Polskiej do Amerykańskiej Częstochowy* i jest to historia poświęcona między innymi pięćdziesięcioletniej misji paulina o. Lucjusza Tyrasińskiego, który przez ponad dwadzieścia lat pełnił na wzgórzu maryjnym różne funkcje: przeora, dyrektora, kustosza sanktuarium i prowincjała. Pięknie wydany egzemplarz książki wraz z dedykacją otrzymuję od autorki na samym początku naszej rozmowy. Jestem ciekawa, jak w tamtych czasach udało się naszej rozmówczyni wyjechać na stypendium kościuszkowskie do Nowego Jorku.

- Był to pomysł z gatunku tych, co zrobię, jak wygram w toto-lotka - opowiada z nostalgią. Kolega Henryk Koniarski namówił mnie na złożenie papierów w sprawie stypendium. Sam marzył o wyjeździe do Londynu. Gdy otrzymałam informację o pozytywnym załatwieniu mojego wniosku, nie wierzyłam własnemu szczęściu. Takie wyjazdy były wtedy zarezerwowane dla profesorów z naukowym dorobkiem z dużych ośrodków, a ja natomiast pracowałam na mało znanej uczelni. Mój kolega niestety tyle szczęścia nie miał.

- Jak wyglądały przygotowania do wyjazdu - pytam podekscytowana, wyobrażając sobie, jakie emocje musiał wzbudzać wyjazd do Ameryki z Polski lat osiemdziesiątych.

- Dostałam od przyjaciół plan Nowego Jorku, który dokładnie przestudiowałam. Następnie pojechałam do Warszawy, do Towarzystwa Łączności z Polonią, po wskazówki, co zabrać ze sobą na pięciomiesięczny wyjazd. Poradzono mi spakowanie się w jak najmniejszą walizkę, co też uczyniłam. Było to bardzo rozsądne posunięcie, bowiem po przylocie na lotnisko okazało się, że jestem zdana na własne siły. Pani Maryla Janiak, która odebrała mnie i moje dwie towarzyszki podróży poinformowała nas, że mieszkanie fundacja zapewnia tylko naszej koleżance z Warszawy. Ja zostałam podrzucona na Manhattan i tam z adresem niedrogiego hotelu wysadzona na ulicy.

Moje stypendium przyznane na początku na pięć miesięcy przedłużyło się na rok i siedem miesięcy. I gdy w 1991 roku uzyskałam następne, podjęłam decyzję rozstania się z moją uczelnią i pozostania na stałe w Nowym Jorku W tym roku upływa osiemnaście lat rozstania z Polską. Muszę przyznać, że na swej drodze w Ameryce spotkałam wielu życzliwych ludzi. *Jak możemy pani pomóc?* - to było pytanie, które słyszałam bardzo często i które ciągle mnie zaskakiwało. Jednak co roku wracam do Złotoryi i śledzę zmiany, które zachodzą w naszym mieście. Odwiedzam brata Jerzego, który wraz z żoną Urszulą mieszka w naszym domu rodzinnym na ul Dolnej 5. Mam podwójne obywatelstwo i czuję się u siebie i tu i tam. I nie wiem, jaką podejmę decyzję w sprawie mojego miejsca pobytu. Tęsknię za rodziną, ale jednocześnie życie w Nowym Jorku ciągle mnie fascynuje. Mam tam też przyjaciół i znajomych, z którymi realizuję wiele zawodowych projektów. Ostatnio była to 90 rocznica nawiązania stosunków dyplomatycznych Polski ze Stanami Zjednoczonymi. Zawsze dzieje się coś ciekawego w

Boże Narodzenie w Nowym Jorku

środowisku polonijnym tego miasta.

- Następnym moim zamierzeniem literackim jest opublikowanie wspomnień polskiego emigranta, chłopca spod Lublina, Tomasza Drewniaka, który wyjechał z kraju „za chlebem" w 1909 roku i pisał listy do swojego brata Marcina, pozostałego w Polsce. Są to zapiski z okresu 1909-1912 .Moim zadaniem jest transliteracja tego tekstu w niewielkim dwudziestopięciostronicowym wydaniu w języku polskim i angielskim. Nawiązałam bliskie kontakty z rodziną mojego bohatera zarówno w Polsce jak i Ameryce. Bracia nigdy się nie spotkali, tak samo jak ich rodziny. Myślę, że będzie to wejrzenie w trudne losy polskich emigrantów tamtych czasów, którzy naprawdę ciężką pracą zapewniali byt swoim rodzinom.

Na koniec naszej rozmowy chciałabym zadać pytanie na temat pani tożsamości. Kim pani jest? Polką czy Amerykanką?

Pani Danuta nie ma wątpliwości i zdecydowanym głosem odpowiada:

- Jestem złotoryjanką, która mieszka w Nowym Jorku.

Elżbieta Łukjańczuk

Słońce złowione w jagody

Pomimo, że winnica *Jaspis* istnieje dopiero od 2003 roku, wino tu wyprodukowane brało udział w kilku konkursach. W listopadzie 2007 roku podczas Święta Polskiego Wina w hotelu Wrocław wino Regent zajęło II miejsce w ocenie komisji sommelierów w kategorii win młodych czerwonych, w tej samej kategorii Marechal Foch otrzymało dyplom jako najlepsze wino również w ocenie sommelierów, a dziennikarze przyznali dyplom winu Regent. W tym samym roku na Święcie Wina i Miodu Pitnego na zamku Grodziec II miejsce zajęło wino Traminer, a winu Regent w kategorii win czerwonych dojrzałych przyznano II miejsce w 2008 roku podczas Święta Polskiego Wina w hotelu Wrocław.

Winorośl Aurora w winnicy *Jaspis* obrodziła w tym roku dość marnie. Przyczyniły się do tego deszcze, które uniemożliwiły pełne zawiązanie owoców czasie kwitnienia. W winnicy Romana Wolniewicza jest wiele odmian winorośli i najszybciej z nich dojrzewa Aurora. Ta odmiana ma jagody o barwie jasnożółtej, soczyste i bardzo słodkie. Aby podjąć decyzję o zbiorach owoców, plantator wykorzystuje refraktometr. Podobnie jak glukometr u ludzi, mierzy on zawartość cukru, tyle że w owocach. Urządzenie trochę podobne do lunety działa na zasadzie pomiaru kąta załamania światła. Należy najpierw wycisnąć jedną kroplę soku z jagody, rozmazać ją nieco na szkiełku urządzenia, a następnie wejrzeć w niego jak w lunetę. W środku można dostrzec podziałkę, na której odczytuje się procentową zawartość cukru w jagodzie. W ten sposób postępuje się z kilkoma jagodami w kiści, aby móc średnio określić, jak słodkie są owoce. Przy pomocy refraktometru plantator z *Jaspisu* ustala, że odmiana Aurora zawiera w tym roku 21 procent cukru. W naszym klimacie to doskonały wynik.

Do zbiorów tej odmiany pan Roman przystąpił z pomocą przyjaciół w pierwszych dniach października. Kiście winogron odcina się od łozy specjalnym sekatorem o wąskich ostrzach. Każdą kiść należy uważnie obejrzeć i przed wrzuceniem do pojemnika usunąć jagody uszkodzone i chore, aby nie obniżały później jakości wina. Niektóre owoce, wyglądające na chore, mają tzw. szlachetną pleśń, która uszkadza ich skórkę, w wyniku czego owoc traci wodę. Zostaje sam ekstrakt, który potem nadaje winu niepowtarzany smak. Te specjalnie zbierane jagody służą do produkcji win typu tokaj i sauternes.

Owoce Aurory są delikatne, więc zebrane grona należy przerobić w ciągu godziny od zbiorów, bo uszkodzone podczas transportu puszczają sok, który może zacząć fermentować. Do tego dochodzą jeszcze procesy gnilne. Transport owoców między winnicą a winiarnią jest jednym z newralgicznych etapów w procesie produkcji wina.

Po zebraniu grona trzeba zważyć, aby wiedzieć później, ile należy dodać drożdży i innych ingrediencji, oraz jaki zastosować sposób wyrobu wina. Dzisiejszy zbiór to 30 kilogramów owoców, z tego powinno wyjść 30 butelek wina o pojemności trzech czwartych litra. Roman Wolniewicz niezadowolony kręci głową, bo z tych samych trzech rzędów w ubiegłym roku zebrano cztery razy więcej winogron.

Teraz owoce wsypywane są do specjalnego młynka, który z jagód wytwarza tzw. Miazgę, oddzielając jednocześnie łodyżki i szypułki. Wytworzenie miazgi ułatwia potem wyciśnięcie soku, jednak ważne jest, aby nie przedostały się do niej nasiona i szypułki, gdyż zawarte w nich garbniki pogorszą smak wina. W dawnych czasach zamiast młynka używano siły fizycznej kobiet, które podkasawszy spódnice, bosymi nogami ugniatały winogrona. Obecnie ten sposób praktykowany jest we Francji ku uciesze turystów, zwłaszcza ich męskiej części.

Następnym etapem w produkcji wina jest kilkugodzinna maceracja miazgi, aby związki mineralne i aromatyczne zawarte w owocach przedostały się do soku, po czym przelewa się ją do prasy. Tłoczenie polega na powolnym, stopniowym dociskaniu tłoka, aż zostanie wyciśnięty sok, który winiarze zwą moszczem (niem. *Most*, łac. *mustum* - surowy sok wytłaczany z owoców).

W dużym namiocie Romana Wolniewicza, gdzie odbywa się nauka sztuki winiarskiej - jak sam twierdzi - unosi się zapach typowy przy wyrobie wina, bo w owocach już rozpoczął się proces fermentacji. Teraz należy określić zawartość cukru w miazdze. Jest to niesłychanie ważne, bo od jego zawartości zależy ilość alkoholu w winie (cukier, jak wiadomo, fermentując, zmienia się w alkohol). Zatem jeśli chcemy, aby przyszłe wino miało 11 procent alkoholu, moszcz musi zawierać około 20 procent cukru. Pan Roman wyciąga kolejny przyrząd, cukromierz. Do menzurki wlewa trochę moszczu, najpierw mierzy jego temperaturę, bo przyrząd wyskalowany jest na 15 stopni Celsjusza. Tak… temperatura moszczu ma pożądane 15 stopni. Z kolei do tejże menzurki winogrodnik wkłada *normalizowany mošťoměr* (czeska nazwa cukromierza). Skupiony odczytuje wynik. Widać, że ma tremę, bo ten moment pokazuje co tak naprawdę wyrosło na winnicy. Po chwili słychać triumfalny okrzyk: „dwadzieścia jeden!". Oznacza to, że w litrze moszczu jest 21 dekagramów cukru, a dopiero z gotowych tabel należy odczytać, ile z tego wyjdzie alkoholu. Wtedy okaże się, czy należy dosłodzić moszcz, czy też wystarczy naturalna zawartość cukru. W tej decyzji istotne jest, ile alkoholu ma zawierać nasze przyszłe wino, jak słodkie ma być i czy będziemy dosładzać miodem czy cukrem.

Z tabel wynika, że wino z tego moszczu bez dosładzania będzie miało 12 procent alkoholu. To doskonały wynik. Wszystkim zebranym w namiocie wyraźnie poprawia się humor.

Po tych czynnościach należy jeszcze zmierzyć zawartość kwasów w moszczu, których jest kilkanaście rodzajów. Pan Roman traktuje kolejną menzurkę chemicznymi odczynnikami i przelicza dane z tabeli. W końcu podaje wynik. To 10,4 grama różnych kwasów w litrze moszczu. Winiarz twierdzi, że to idealny stan. Tego moszczu nie należy dosładzać ani odkwaszać, ani w żaden inny sposób poprawiać. To będzie doskonałe wytrawne białe wino o zharmonizowanym smaku.

Otrzymany z miazgi moszcz następnie przelewany jest do butli, a dodane drożdże (najlepsze są wyselekcjonowane, bo poprawiają jakość wina) przyspieszą fermentację. Niektóre drożdże, zwłaszcza tzw. rdzenne, przydają winu również bukiet typowy dla odmiany i winnicy. Niektóre z nich dają zapach skóry, końskiego siodła, woń spoconego konia i różne takie stajenne zapachy. Wonie te w mikroilościach wpływają bardzo pozytywnie na ogólny aromat wina i podnoszą jego walory, a w winach rustykalnych są wręcz podstawą. Wino, pożywienie z danej okolicy, mikroklimat i ziemia współgrają ze sobą tworząc niepowtarzalny efekt. Francuzi mają na to jedno określenie - *terroir*.

Już starożytni odkryli aseptyczne działanie dwutlenku siarki wykorzystując go w procesie tzw. siarkowania. W smaku i w zapachu siarka nie jest wyczuwalna, a ponadto zmniejsza radykalnie ilość szkodliwych bakterii oraz zapobiega utlenianiu win białych. Zresztą jej ilość w winie obecnie określają przepisy unijne, i na przykład wino białe wytrawne nie może zawierać więcej siarki niż 0,2 g na litr.

Teraz nastaw przez pierwsze dwa tygodnie przechodzi fermentację burzliwą, a potem przez miesiąc odbywa się fermentacja cicha. Jednocześnie trwa klarowanie wina. Rurka fermentacyjna na butli zapobiega wniknięciu do wewnątrz zbyt dużej ilości tlenu, który może spowodować rozwój niepożądanych mikroorganizmów.

W czasie klarowania dokonuje się pierwszego obciągu wina znad osadu i po przelaniu do drugiej butli przenosi do piwnicy. Przelanie do innej butli jest niezbędne. Wino ma mieć jak najmniejszy kontakt z powietrzem, dlatego jego poziom powinien sięgać aż do wąskiej szyjki, po korek. W przeciwnym wypadku produkt może się popsuć.

Teraz przez kilka miesięcy będzie trwał proces dojrzewania. O tym, czy wino już dojrzało czy jeszcze nie, decyduje winiarz, który musi co jakiś czas schodzić do piwnicy i próbować. Pan Roman twierdzi, że jego wątroba przez to próbowanie jest w poważnym niebezpieczeństwie. Gdy dochodzi do wniosku, że wino już dojrzało, rozlewa je do butelek i przechowuje w piwnicy w temperaturze do 10. stopni.

Etykietka na butelce z winem powinna zawierać między innymi rok produkcji, gatunek, miejsce wytworzenia, zawartość alkoholu, pojemność. Oprócz tego każdy winiarz nadaje nazwy własne swoim produktom. No i jeszcze logo winnicy lub wizerunek, który będzie się kojarzył z tą jedyną winnicą. I wtedy takim winem można poczęstować znajomych, przyjaciół, czy posłać na konkurs.

Agnieszka Młyńczak
zdjęcia: Elżbieta Łukjańczuk
i Agnieszka Młyńczak

Łączyć, nie dzielić

W połowie września grupa uczniów klas drugich Liceum w Złotoryi w ramach realizacji projektu historyczno – dziennikarskiego przebywała na międzynarodowej wymianie w Varel w Niemczech.

Sebastian Rogalski: Co to jest wymiana ?

Dorota Mowna: Wymiana to jest, można by rzec, wycieczka, z tym że ta ostatnia była szczególna. Wcześniejsze polegały na ogólnie pojętym wypoczynku, natomiast głównym celem naszej była praca..

Kamil Żołnierewicz: …ale o wypoczynku też nie zapominaliśmy.

DM: Realizowaliśmy międzynarodowy projekt 'The Niners: 1939-2009". Nazwa może brzmi zawile, ale tak naprawdę idea była prosta: stosunki między Polską a Niemcami od początku II wojny światowej aż po rok 2009.

SR: Na czym dokładnie to polegało ?

DM: Cała wymiana trwała 7 dni. Wyłączając dojazd z Polski do Niemiec i z powrotem, całe dnie spędzaliśmy na pracy badawczej. Przez pierwsze 4 dni zwiedzaliśmy najbliższą, bardzo piękną, choć odrobinę monotonną okolicę.

KŻ: Wszystkie okoliczne wioski wyglądały identycznie -domki z czerwonej cegły na wielkiej zielonej równinie. Jednego nie można im odmówić: nawet najmniejsza wioseczka ma niedaleko do autostrady. Ogólnie wygląd tych miejscowości pod względem estetyki to zupełnie inna liga niż w Polsce, in plus oczywiście.

SR: Wróćmy do tematu.

DM: Tak jak już powiedziałam, pierwsze dni były tą przyjemniejszą częścią naszej pracy, polegającą na szukaniu odpowiednich źródeł, które pozwoliłyby nam na ciekawe i interesujące opisanie tematu. Odwiedzaliśmy okoliczne muzea, biblioteki…

KŻ: …sklepy, restauracje…

DM: To także, ale już nie w ramach projektu. Niemieckie muzea to także całkowicie coś innego, niż to, z czym kojarzy się ta instytucja w Polsce.

DM: U nas muzeum to głównie gablotki, w których pozamykane są eksponaty. Tam natomiast ekspozycje są o wiele bardziej interaktywne. Większości przedmiotów można dotknąć, lepiej im się przyjrzeć. Przewodnik oczywiście, podobnie jak w Polsce, oprowadza grupę, ale pozwala każdemu uczestnikowi na dużo większą swobodę.

KŻ: Jego wykłady sprowadzają się do kilku kluczowych, dla danego pomieszczenia lub eksponatu, zdań. Pod tym względem szczególnie spodobało nam się w Domu Emigranta w Bremerhaven. Przy wejściu dostaje się specjalne karty, które po przyłożeniu do czytnika w danym miejscu pozwalają na lepsze poznanie tematu. Na te multimedialne części wystaw składają się nagrania audio, wideo itd.

SR: A ta mniej przyjemna część pracy ?

DM: Były to dwa przedpołudnia maratonu piśmienniczego. Niczym średniowieczni skrybowie siedzieliśmy w dusznym pokoju i tworzyliśmy publicystykę na podstawie doświadczeń i wiadomości zebranych w toku wcześniejszej działalności badawczej.

KŻ: Może porównanie do mnichów jest niezbyt trafne, gdyż oni nie pisali na komputerach, ale nasz wysiłek i mozół pracy mogą nasuwać na myśl pewne analogie.

SR: Jak wyglądały wasze relacje z niemieckimi kolegami ? O ile mi wiadomo, wymiany polegają również na przyjmowaniu pod swój dach zagranicznych gości. Jak oceniacie gościnność naszych zachodnich sąsiadów ?

KŻ: Na początku czułem się lekko zagubiony w tej krainie bezkresnych zielonych równin. U nas pagórek to dla mieszkańców Varel, i oczywiście okolic, porządnej wielkości wzniesienie.

SR: Okolic? Z tego, co powiedziałeś wynika, że tylko teoretycznie pojechaliście do Varel.

KŻ: Nie do końca. O ile większość z nas mieszkała w pobliskim, niewiele mniejszym Zetel, tak Varel było centrum tego regionu i naszym, można by rzec, „miejscem pracy".

DM: W Varel znajduje się szkoła, do której uczęszczają „nasi" Niemcy. Nie jest jednak taka, jaką znają Polacy. Na pierwszy rzut oka przypomina wielki, chaotyczny moloch, gdyż składa się z kilku budynków, w których swoją siedzibę mają klasy od 5 do 13. Daje to nader dużą liczbę uczniów w dosyć małej przestrzeni, ale gdy się bliżej przyjrzeć, wszystko jest uporządkowane i o żadnym bałaganie absolutnie nie ma mowy.

SR: Jak wyglądał typowy dzień na obczyźnie?

KŻ: Rano pobudka, w dosyć nieprzyjemny, polegający na pukaniu do drzwi i słowie „aufstehen" [pol. wstawać], sposób. Po ogarnięciu się jest śniadanie, które wygląda zupełnie inaczej niż w

moim domu. O ile u mnie prawie zawsze jadam sam, tak tutaj pierwszy posiłek upływa wśród szwargotania niemieckiej familii. Na gościnność nie mogę narzekać, gdyż na stole zawsze jest tyle jedzenia, że aż uginał się on pod jego ciężarem.

DM: Moje wrażenia są identyczne. Smaku ciepłych, chrupiących i świeżych bułeczek nie zapomnę do końca życia.

KŻ: Po śniadaniu dochodzimy na autobus, którym jedziemy do szkoły. Drogi tu są, nazwijmy to, bardziej pokręcone niż polskie, więc trasa, którą u nas jechałoby się maksymalnie 15 minut, tu zajmuje pół godziny. Po dotarciu do szkoły przesiadamy się do innego autobusu, który wiezie nas na wycieczkę. Jeśli akurat na dany dzień nie ma zaplanowanego niczego poza pracą, to korzystamy z niemieckiej sali komputerowej i, tak jak już powiedziała Dorota, ciężko pracujemy.

DM: Po szkole wracamy na obiad. Niemcy, przynajmniej „moi", bardziej niż polskie trzy posiłki preferują duże śniadanie, w szkole/pracy lekki lunch i dopiero pod wieczór obiadokolacja. Je się tu głównie mięso, najczęściej wieprzowe, do tego ziemniaki i surówkę. Słowem, prawie jak w domu.

KŻ: Po kolacji, jeśli nie jesteśmy na wycieczce, bo z tych wracamy zazwyczaj dopiero wieczorem, wychodzimy na wspólne spotkania integracyjne w pobliskim parku.

SR: Porozmawiajmy o relacjach polsko – niemieckich, które, nie okłamujmy się, wg stereotypów są dużo gorsze niż zapewne w rzeczywistości.

DM: Tak, stereotypy faktycznie są często przesadzone. Ja nie mogę powiedzieć niczego złego o niemieckich manierach, poza prawie całkowitym brakiem zwrotów grzecznościowych. Mając jednak na uwadze to, że dla Niemców bardziej liczą sie czyny niż słowa, muszę przyznać, że poznałam tu tylko szczerą grzeczność. Niczego mi nie brakowało.

KŻ: Nie słyszeliśmy też żadnych dowcipów o polskich złodziejach samochodów. Skoro już przy dowcipach jesteśmy, to trzeba wspomnieć o tym, iż mimo, że nazizm i ogólnie okres III Rzeszy jest tam tematem tabu, to usłyszeliśmy jeden dowcip opowiadający o Hitlerze. Co więcej, był naprawdę śmieszny, lecz nie nadaje się do publikacji.

DM: Z drugiej strony Polska jawi się Niemcom jako kraj zacofany, biedny i opierający swoją gospodarkę na prymitywnej kulturze agrarnej. Jedna z Niemek spytała mnie wprost, czy w Polsce mamy dostęp do ciepłej wody i bułek w sklepach.

KŻ: Ja natomiast dowiedziałem się, że Polska nie ma dostępu do morza. Słyszałem też historię o pytaniu jednego Niemca: *czy macie w Polsce przerzutki w rowerach?*

SR: Nie wierzę. Niewiedza o Polsce jest tam aż tak wielka?

KŻ: Niewiedza to może złe słowo. Ignorancja byłaby w tym wypadku bardziej trafnym określeniem.

SR: Oficjalne stosunki między Sejmem a Bundestagiem są coraz lepsze, jednakowoż prezydent wciąż sprawia nienajlepsze wrażenie na arenie międzynarodowej. Czy Niemcy zagadywali was o politykę?

KŻ: Nie, ci młodzi nie angażują się w politykę w takim stopniu jak ich polscy rówieśnicy. Prawdę mówiąc, to w ogóle się nie angażują. Z polskich polityków najbardziej bliski jest im właśnie prezydent Kaczyński. Kojarzą mniej więcej jego wygląd i poglądy. Pytano mnie, czy wszyscy Polacy są tacy jak on. Oczywiście zaprzeczyłem.

SR: Czyli izolacjonizm nie jest dobrą metodą dla Polski?

DM: Zdecydowanie. Już teraz nasz kraj postrzegany jest jako na wpół afrykański Trzeci Świat. Przydałoby sie więcej promocji.

SR: Zakończmy to politykowanie. Czas na podsumowanie.

KŻ: Ogólnie mówiąc, było bardzo w porządku. Zaskoczyła nas niemiecka gościnność. Byliśmy także pozytywnie zdziwieni dowiedziawszy się o dosyć dużej, aczkolwiek prawie całkowicie zasymilowanej polskiej diasporze żyjącej w tamtych stronach.

DM: Również poziom i ilość terenów rekreacyjnych zrobiła na nas wrażenie. Skateparki, ściany do graffiti, boiska ze sztuczną trawą. Wszystko to stanowi zupełną różnicę wobec tego, co znamy w Polsce. Chociaż, na szczęście, u nas także wszystko zmierza ku lepszemu.

Udało nam się również porozmawiać z potomkiem polskich imigrantów żyjących w Varel.

Sebastian Rogalski: Mateuszu, dlaczego zdecydowałeś się wziąć udział w wymianie?

Mateusz Andruszko: Interesował mnie głównie polski sposób bycia. Moim zdaniem bardzo interesującym i kształcącym zajęciem jest poznawanie obcych kultur w ten właśnie sposób.

SR*: Chyba nie takich znowu obcych. Przecież Twoi rodzice pochodzą z Polski.*

MA: Tak, to prawda. Moja rodzina pochodzi z Bielawy. Tato i mama przyjechali tu w 1994 jako młode małżeństwo. Podobnie jak wielu innych Polaków w tym okresie, celem ich wyjazdu była praca i nadzieja na lepsze jutro. W końcu zdecydowali się tu osiedlić. Owoce ich miłości, to znaczy ja i mój młodszy brat, zostały poczęte już w Niemczech.

SR: Wymiany młodzieży to dobry pomysł ?

MA: Tak jak już powiedziałem, sam pomysł organizowania tego typu wyjazdów jest świetny. Jest to moja pierwsza wymiana, ale w przyszłości mam zamiar brać udział także w innych. Moja szkoła przeprowadza wymiany także z miastami holenderskimi, angielskimi, węgierskimi, a nawet amerykańskimi. Jest to o tyle wygodniejsze dla uczestników i rodziców, że w powyższych, może poza Węgrami, krajach, absolutna większość społeczeństwa ma opanowany język angielski w stopniu perfekcyjnym, także problem komunikacji z ludźmi nie istnieje.

SR: Jakie są twoje prywatne odczucia co do tej wymiany?

MA: Bardzo dobre. Podobało mi się zwiedzanie, pisanie już może trochę mniej, ale ogólnie było „sehr gut". Także codzienne obcowanie z polskimi uczestnikami wymiany pozwoliło mi wiele dowiedzieć się o waszym charakterze narodowym. Ja urodziłem się już tu, moi rodzice, poza nadaniem mnie i mojemu bratu polskiego imienia, nie przywiązują wagi do pamięci o ojczyźnie, więc nie miałem okazji poznać polskiej werwy, spontaniczności i tzw. gorączki. Niemcy mają wszystko uregulowane. Gdy nie ma regulaminu, zaczynają się gubić. Polacy natomiast lubią naginać zasady, żyć po swojemu. To mi się właśnie u was najbardziej podoba.

Z uczestnikami wymiany w Varel rozmawiał Sebastian Rogalski

Maratończyk

Marcin Jagielski przebywa w zakładzie Poprawczym w Jerzmanicach. Jest jednym z reprezentantów Złotoryi w maratonach, trenuje pod okiem Marcina Rabendy.

Echo: Pamiętasz swoje pierwsze zawody?

Marcin Jagielski: Tak, było to dość niedawno, bo w maju i były to Mistrzostwa Dolnego Śląska we Wrocławiu.

Echo: Jak wygląda Twój zwykły trening?.

M.J: Ostatnio przygotowywałem się do maratonu, to miałem określony trening tygodniowy, np. w jeden dzień miałem 45 minut biegów i 10 minut podbiegów (bieg pod górę). W każdym dniu były jakieś drobne zmiany, np. dołożone było jeszcze 20 minut truchtu. Dla osób, które nie trenują, na pewno byłoby ciężko, ale mnie sprawia to przyjemność.

Echo: Zdradź nam, czy Twoja sylwetka to sukces jakiejś specjalnej diety?

M.J: Nie, nie stosuję żadnej diety, a mój wygląd to rezultat ćwiczeń na siłowni jeszcze zanim zacząłem biegać.

Echo: Masz swoje ulubione dystanse?

M.J: Ostatnio lubię biegać długie odcinki, czyli takie powyżej 4km.

Echo: Twoje osiągnięcia sportowe są imponujące, powiedz nam, które Cię najbardziej satysfakcjonują?

M.J: Najbardziej jestem zadowolony z maratonu Hasco-Lek we Wrocławiu, który pokonałem w 3 godziny i 19 minut, ale cieszą mnie także inne biegi np. w Poznaniu, Warszawie, Legnicy.

Echo: Kto odkrył Twój talent?

M.J: Zapał i talent do biegania odkrył we mnie wychowawca pan Marcin Rabenda. Jak już wspominałem, chciałem wyrzeźbić sobie mięśnie i zacząłem ćwiczenia na siłowni, a później pan Rabenda namówił mnie, żeby spróbować swoich sił w biegach, no i spodobało mi się to.

Echo: Masz idoli sportowych, którzy są dla Ciebie wzorem do naśladowania?

M.J: Trenuję dopiero od niedawna i raczej robię to sam dla siebie, nie wzoruje się na nikim, bo to, czy dzisiaj będzie mi się chciało wyjść na deszcz i przebiec zaplanowany odcinek, zależy tylko od mojej własnej determinacji.

Echo: Co daje Ci bieganie? Robisz to dla zabicia czasu, czy po prostu sprawia Ci to przyjemność?

M.J: Daje mi ta wielką satysfakcję. Kiedy biegam, nie myślę o moich problemach i mogę się zrelaksować.

Echo: Mógłbyś nam zdradzić, dlaczego znalazłeś się w zakładzie poprawczym?

M.J: Ciężko się przyznać, ale trafiłem tam za kradzieże.

Echo: Powiedz nam, czy w Twoim życiu są osoby, które wspierają Cię w tym, co robisz?

M.J: Jedyna osoba, która mnie wspiera i mobilizuje do treningów to właśnie pan Rabenda, ale robię to też dla samego siebie.

Echo: Czy to znacz, że osoby znajdujące się w Twojej placówce nie pomagają Ci w rozwijaniu pasji?

M.J: Niestety, ale ludzie w „poprawczaku" są dość obojętni na wszystko, czasami pogratulują mi po wygranych zawodach i to wszystko. Bardziej mogę liczyć na wsparcie ze strony wychowawców.

Echo: Mógłbyś dokończyć zdanie: Pobyt w zakładzie poprawczym jest dla mnie…

M.J: … dużą nauczką na przyszłość.

Echo: Skoro mowa o przyszłości, to masz plany z nią związane?

M.J: Tak, po wyjściu z „poprawczaka" chciałbym podjąć dalszą naukę, ponieważ teraz kończę szkołę zawodową. Chciałbym też kontynuować treningi najlepiej w jakimś klubie, ale najpierw muszę taki znaleźć.

Echo: Co powiedziałbyś osobom, które trafiają do „poprawczaka" i porzucają swoje pasje?

M.J: Myślę, że nie ma takich osób, bo każdy, kto tu trafia, jest obojętny na wszystko. Nie ma żadnych zainteresowań poza tym, co go do „poprawczaka" zaprowadziło. Dopiero w „poprawczaku' może znaleźć coś, co go zainteresuje, tak jak to było ze mną.

Rozmawiały: Ola Drzal, Magda Żelasko i Marta Kaliciak

Rozstrzygnięcie konkursu o Wilkołaku

We wrześniu i na początku października bieżącego roku z inicjatywy TMZZ został przeprowadzony Konkurs krajoznawczo – historyczny Wilkołak (Wilcza Góra). Honorowymi patronami byli Wójt Gminy Maria Leśna i Burmistrz Złotoryi Ireneusz Żurawski.

Konkurs odbywał się w II etapach w formie pisemnej i w czterech kategoriach: dla szkół podstawowych, gimnazjów, szkół ponadgimnazjalnych i osób dorosłych. Wzięło w nim udział 172 uczniów. Laureatami konkursu zostali:

Szkoły podstawowe:

I m. Natalia Gorgolewska – SP nr 1, Wiktoria Baran – SP nr 1, Daria Leśniak – SP nr 1,

II m. Paweł Polak – SP nr 3,

III m. Sebastian Mróz – z Rokitnicy.

Gimnazja:

I m. Maria Cukrowska z Wilkowa,

II m. Paulina Czechowicz z G. nr 2 w Złotoryi i Adriana Chybowska z G. nr 1 w Złotoryi,

III m. Anna Noga z Lubiatowa,

Szkoły ponadgimnazjalne:

I m. Agnieszka Gorgolewska LO,

II m. Kacper Pawłowski LO,

III m. Piotr Kieruzal LO.

Dorośli:

I m. p. Aneta Chojnecka.

Wszyscy uczestnicy konkursu wykazali się szeroką wiedzą na temat Wilkołaka. Serdecznie im gratulujemy. Dziękujemy także nauczycielom, którzy zainteresowali młodzież tematyką konkursu i pomagali im w zdobywaniu wiedzy, a byli to: Paulina Chaim, Wioleta Choczaj, Grażyna Gorzkowska, Roman Gorzkowski, Beata Iwińska, Damian Komada, Kajetan Kukla, Kinga Maciejak,

Mariusz Piskorski, Małgorzata Szcześniak.

Startowali uczniowie ze szkół podstawowych; z Gierałtowca. Jerzmanic Zdroju, Rokitnicy, SP nr 1 w Złotoryi i SP nr 3 w Złotoryi. Z gimnazjów: z Lubiatowa, Wilkowa, G nr1 i Gnr2 ze Złotoryi. Ze szkół ponadgimnazjalnych: Liceum Ogólnokształcące w Złotoryi. Z osób dorosłych: jedna osoba ze Złotoryi.

Grażyna Gorzkowska

Rozcięty wulkan

Sala kinowa ZOKiR pękała w szwach

Mimo, że był piątek, godzina dziewiąta rano, salę kinową Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji wypełniała po brzegi publiczność, a dla wielu osób zabrakło miejsc siedzących. Sesja popularnonaukowa o Wilkołaku, geologii, przyrodzie i dziedzictwie kulturowym tej niezwykłej góry zapowiadała się nadzwyczaj ciekawie.

Na sesji czas szybko mijał, wystąpienia przyciągały uwagę, prelegenci byli zdyscyplinowani i przestrzegali wyznaczonego czasu. Na szczególną uwagę zasługiwało wystąpienie Güntera Gläsera, który od urodzenia do 14. roku życia mieszkał w Złotoryi, tu jako dziecko latał na szybowcach. Mimo, że referat wygłaszany był po niemiecku (zresztą sprawnie tłumaczony przez doktorantkę Uniwersytetu Wrocławskiego Magdalenę Maruck), pan Gläser przy pomocy żywej gestykulacji i wyrazistej mimiki docierał bez trudu do słuchaczy z opowieścią o swoich zmaganiach z szybowcami. Ten stary, jak sam o sobie mówi, *goldberger*, zaprezentował sporo zdjęć Wilczej Góry z lat trzydziestych XX wieku.

Gdy za mównicą stanął Krzysztof Maciejak i rozpoczął prelekcję o wulkanach, na sali zapadła cisza jak makiem zasiał. Sugestywnie roztoczył przed zebranymi wizję ziemi złotoryjskiej wstrząsanej wybuchami wulkanów ze spływającą ze zboczy rozżarzoną lawą. Opowieść zilustrował doskonałymi zdjęciami Wilkołaka wraz z poglądowymi rysunkami. Dopiero ten referat unaocznił wszystkim, dlaczego nasza góra jest tak wyjątkowa.

Każde wystąpienie podczas sesji było ciekawe, każde nagradzano oklaskami. Ale chyba najbardziej spodobał się i najwięcej zebrał oklasków dziesięcioletni chłopiec, który na koniec sesji zabrał głos w dyskusji. Sala zamarła z wrażenia, gdy zobaczyła na środku małą figurkę chłopca w okularach, z rozwiązanymi sznurowadłami u butów, który z godnością próbował bezskutecznie dosięgnąć do mikrofonu. Dyskutant ów z powagą otworzył zeszyt z notatkami i zaczął zadawać profesjonalne pytania na temat wulkanów Krzysztofowi Maciejakowi. O co pytał chłopiec i co odpowiadał prelegent, wiedzieli chyba tylko oni dwaj, tak wąskiego zagadnienia wulkanologii dotyczyły pytania i tak specjalistycznym słownictwem operowali.

Bogusz Kulus (bo to o nim mowa) ma dziesięć lat, a wygląda na jeszcze mniej. Drobny, szczupły chłopiec patrzący zza okularów z poważną miną. Na sesję o Wilkołaku przyjechał z rodzicami z rodzinnego miasteczka Śmigiel, które leży w Wielkopolsce. Pierwszy raz na byłym wulkanie w Złotoryi był z rodzicami dwa lata temu.

- Wulkanami interesuję się od dwóch lat - opowiada Bogusz. - Zaczęło się wtedy, gdy mój starszy brat pożyczył grę komputerową. Tam był fajny wulkan i ta gra spowodowała moje zainteresowanie wulkanologią. Zbieram też skały wulkaniczne na Pogórzu Kaczawskim i czytam książki o wulkanach. Na Wilczej Górze oczywiście byłem. Na samym szczycie.

Bogusz ma już spory zbiór skał, a do ich badania ma w swoim domu w piwnicy specjalne stanowisko geologiczne. Pisze też opowiadania o wulkanach, interesuje się kosmosem i… chemią.

W sumie sesja została dobrze przygotowana i przeprowadzona pomimo przymusowej przeprowadzki do innej sali podczas drugiej części. Ci, którzy dotrwali do końca obrad, zostali zaproszeni na obiad przez prezesa TMZZ Aleksandra Borysa do restauracji „Przy Miłej" na koszt organizatorów.

I nieco dziegciu do tego miodu. Otóż podczas drugiej części sesji, gdy były wygłaszane referaty o sposobach zagospodarowania Wilkołaka i przykładach podobnych miejsc w Europie, na sali nie były obecne najważniejsze w tym przypadku osoby. Wójt Gminy Złotoryja Maria Leśna, która do tej pory była obecna, musiała wyjść, a wielkim nieobecnym był (chociaż zaproszony i mający wygłosić referat) przedstawiciel firmy COLAS, tej samej, która aktualnie eksploatuje złoże bazaltowe na Wilczej Górze. Jak twierdzi Krzysztof Maciejak, *jeśli my sami, lokalna społeczność nie zadbamy o swoje dziedzictwo, nikt z Warszawy czy Wrocławia nie zainteresuje się tym tematem.* Pozostaje nam tylko wierzyć głęboko, że sesja o Wilkołaku spowoduje, iż może w końcu coś zacznie się zmieniać w rejonie naszej wyjątkowej róży bazaltowej.

Agnieszka Młyńczak

Rozmowy kuluarowe

Aleksander Borys - prezes TMZZ, organizator sesji

- Pięćdziesiąt lat temu na Wilkołaku utworzono rezerwat przyrody nieożywionej. Wzgórze to dla naszego miasta jest bardzo ważne pod względem krajobrazowym, przyrodniczym i gospodarczym. W okolicach Złotoryi jest kilka kopalń, gdzie eksploatuje się złoża bazaltu, ale nigdzie nie ma kopalni jednocześnie z rezerwatem. Można sobie zadać pytanie, co jest ważniejsze: rezerwat czy kopalnia? Wydaje się, że można to wszystko jakoś połączyć i zakończyć proces niepokojów złotoryjan i niejasnej sytuacji w COLAS-ie. Mamy nadzieję, że dzisiejsza sesja przybliży zwłaszcza młodym złotoryjanom znaczenie, historię i dzień dzisiejszy Wilczej Góry a także pomoże ją zagospodarować.

Mariusz Łesiuk - archeolog

- Taka góra dla dawnych ludzi mogła być miejscem przebywania najwyższego bóstwa, bo góra właśnie obrazuje bezpośrednią łączność z niebem. Nie bez przyczyny święte gaje Słowian były lokowane na wyniesieniach, otoczone kamiennymi kręgami, np. Ślęża, Radunia czy Łysiec.

W poszukiwaniu nazwy Wilczej Góry warto sięgnąć do świata wierzeń Słowian południowych. Spośród licznych demonów występowały tam wiły, które zjawiały się pod postacią różnych zwierząt, w tym wilków. Mieszkały między innymi także w górach. Wiły pomagały wojakom w bojach, w codziennej pracy rolników, lecz mogły też zatańcować kogoś na śmierć.

Może nazwa Wilczej Góry ma coś wspólnego z rozbójnikami? W wyobraźni ludowej wędrówki wilka łączyły go z uciekinierami i banitami. Angielskie określenie *Wolfshead* to synonim banity.

Günter Gläser - złotoryjanin, obecnie mieszka w Hanowerze

- Latałem na szybowcach na Wilczej Górze, która kiedyś inaczej wyglądała. Martwi mnie to i smuci, że ona ciągle się zmniejsza, znika. Jestem starym *goldbergerem* i Wilcza Góra w starej formie bardziej mi się podobała. Zdaję sobie sprawę, że eksploatacja bazaltu zaczęła się już w 1908 roku. Gdy byłem dzieckiem, to wydobycie już trwało, jednak góry ubywało bardzo delikatnie i tylko od strony Jerzmanic.

Wrażenia z sesji? Bardzo pozytywne. Zresztą podoba mi się wszystko, co ma związek ze Złotoryją. To jest moja miłość do małej ojczyzny, miejsca, skąd pochodzę, gdzie przeżyłem swoje dzieciństwo.

Günter Gläser – stary złotoryjanin, obecnie mieszkający w Hanowerze

Agata Brzozowska - historyk

- Dawno, dawno temu był sobie rycerz, który wracał z krucjaty do Ziemi Świętej. Pod koniec wędrówki w lesie pod Wilczą Górą spotkał czarownicę z synami. Splot wielu wydarzeń doprowadził do tego, że został przez tę czarownicę zamieniony w niedźwiedzia. Zaczarowany rycerz znalazł sobie jamę, w której rozpoczął swoje niedźwiedzie życie. W Złotoryi miał dziewczynę, Gertrudę. To ona wraz z ojcem pomogła rycerzowi odzyskać człowieczą postać. Jama, w której ukrywał się ów rycerz, istnieje po dziś dzień na zboczu Wilczej Góry i można ją zwiedzić, wybierając się na wycieczkę.

Andrzej Maszczak - dwukrotny dyrektor kopalni bazaltu na Wilczej Górze (w sumie siedem lat)

- Było to siedem bardzo dobrych lat. W latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, gdy jeszcze strzelaliśmy chodnikowo, wydobycie szło bardzo intensywnie. Każdy odstrzał to był urobek rzędu siedemdziesięciu tysięcy ton. W tym czasie wysyłaliśmy większość bazaltu na budowę Portu Północnego. Bezpośrednio spod ściany eksploatacyjnej urobek był ładowany na samochody i jechał do Goliszowa (koło Chojnowa), gdzie był ładowany na wagony i pociągami dostarczany na północ kraju.

O każdym odstrzale chodnikowym w latach 1973-1977 mieliśmy obowiązek powiadamiać naukowców z Politechniki Wrocławskiej. Oni mieli to dokumentować. Jednak nie było z ich strony zainteresowania tą sprawą. Wtedy poleciłem jednemu ze sztygarów zaprowadzenie kroniki Wilczej Góry, w której dokumentowaliśmy działalność kopalni. Dzięki temu mamy teraz sporo zdjęć z tamtego okresu. Jednak z ubolewaniem stwierdzam, że sama kronika gdzieś się zawieruszyła.

Mój stosunek do rezerwatu na Wilczej Górze? To trudne pytanie. Mnie, jako kierownikowi firmy wydobywczej, zależało na eksploatacji złoża, a nie na jego zachowaniu. Przyznam, że długo wojowałem z konserwatorem zabytków, aby zlikwidować rezerwat, bo pod nim jest zamrożone złoże około półtora miliona bardzo dobrej jakości bazaltu. Jednak teraz, po latach, mogę ocenić, że na szczęście rezerwat nie został zniszczony, bo wracając do domu z radością wszyscy witamy charakterystyczną, nieco nadgryzioną sylwetkę Wilkołaka.

Kinga Maciejak - nauczycielka przyrody w szkole podstawowej

- To jedyna tego typu góra w Polsce mająca nietypowy układ słupów skalnych tzw. *różę bazaltową* czy też *kamienne słońce*. Dzieci też potrafią reagować na takie piękno, lecz przed wycieczką należy je przygotować pod kątem wiedzy geologicznej, powiedzieć o tym, jak powstawały wulkany na terenie Pogórza Kaczawskiego. Z taką podbudową teoretyczną mogą podziwiać piękno bazaltowych słupów.

Bogusz Kulus – dziesięcioletni wulkanolog z rodzicami i bratem

Wszystkich entuzjastów góry smuci fakt, że została ona zapomniana i zaniedbana przez różne władze. Ze Złotoryi nie prowadzą do rezerwatu żadne szlaki dla turysty pieszego. Ale ponieważ jest tam też kamieniołom, są sprzeczne interesy. Kopalnia chce tylko eksploatować złoża dla zysku, natomiast przyrodnicy i turyści chcieliby mieć możliwość oglądania wygasłego wulkanu chodząc po bezpiecznych szlakach. Niestety najpiękniejsze odsłonięcia bazaltu są po stronie kopalni, gdzie chodzenie jest zabronione. Ponadto COLAS stale pomniejsza tzw. filar ochronny rezerwatu, który zgodnie z przepisami miał mieć pięćdziesiąt metrów szerokości. W tej chwili zmniejszył się do zaledwie dziesięciu metrów. Z drugiej strony to właśnie dzięki działalności kopalni została odsłonięta ta najpiękniejsza róża bazaltowa. Chciałabym, aby po tej sesji można było wypracować jakąś wspólną ideę co do współistnienia i rezerwatu, i eksploatacji złoża bazaltowego no i bezpiecznego poruszania się turystów.

Angelika i Klaudia - uczennice pierwszej klasy gimnazjum

Dzisiaj są tutaj ze swoją klasą w ramach zajęć lekcyjnych. Twierdzą, że gdyby sesja odbywała się w sobotę, to by nie przyszły.

- Jednak gdyby ktoś mnie zachęcił i opowiedział, o czym będzie sesja, na pewno bym przyszła - zapewnia Klaudia, a Angelika dodaje:

- Ja się ogólnie interesuję historią, dla mnie dzisiejsza sesja jest ciekawa. A najbardziej mi się podobał referat pana Krzysztofa Maciejaka. Także ciekawy był referat tego starszego pana, Güntera Gläsera, który latał na szybowcach, gdy był dzieckiem.

Dziewczyny twierdzą, że niektórzy z ich klasy byli niezadowoleni, gdy szli na sesję. Myśleli, że będzie nudno.

- A teraz okazuje się, że na tej sesji nie można było się nudzić - mówią dziewczyny jedna przez drugą między kęsami smacznych kanapek przygotowanych przez organizatorów sesji.

- Co chciałybyśmy przekazać naszym rówieśnikom? Nie można z góry zakładać, że coś będzie nudne. Trzeba pójść na sesję, aby się przekonać i samemu ocenić.

- Chciałam jeszcze dodać - uzupełnia Angelika, - że to jest świetny pomysł na naukę, takie urozmaicenie lekcji.

Krzysztof Maciejak - geolog

- Wilcza Góra jest chyba najwybitniejszym w Polsce reliktem dawnego trzeciorzędowego wulkanizmu. Ta rozcięta góra odsłania przekrój komina wulkanicznego, który obrazuje kilkanaście faz działalności wulkanu. Reprezentuje jeden z nielicznych przykładów rezerwatu przyrody nieożywionej na Dolnym Śląsku i w ogóle w południowo - zachodniej Polsce. Tego typu parki wulkaniczne w Europie są zawsze chronione.

Na Wilczej Górze utworzono rezerwat 50 lat temu. Przez ten cały czas jesteśmy w punkcie wyjścia, jeśli chodzi o ochronę rezerwatu i przybliżenie go turystom. Na całym świecie odsłaniane są skały dzięki działalności przemysłowej człowieka. Myślę, że na pewnym etapie człowiek powinien umieć powiedzieć stop i położyć kres wydobyciu, aby zachować to piękno, które niechcący odsłonił.

W 1951 roku cała Wilcza Góra miała zniknąć z powierzchni ziemi. Było już przygotowane 60 ton dynamitu, który miał wysadzić całe wzgórze w powietrze metodą komorową. Wtedy najważniejsza była eksploatacja. I tylko determinacji dwóch wybitnych naukowców zawdzięczamy to, że dzisiaj Wilkołak jeszcze stoi. Byli to profesorowie geolodzy Macko i Zwierzycki. Jeśli my sami, lokalna społeczność, nie zadbamy o swoje dziedzictwo, nikt z Warszawy czy Wrocławia nie zainteresuje się tym tematem.

Rozmowy w kuluarach przeprowadzała Agnieszka Młyńczak

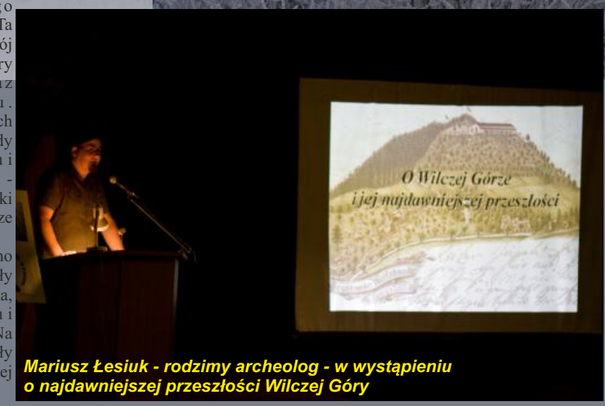

Mariusz Łesiuk - rodzimy archeolog - w wystąpieniu o najdawniejszej przeszłości Wilczej Góry

Gierałtowiec - wieś niezwykła - część I

WIEŚ NIEZWYKŁA

Mieszkańcy Gierałtowca zawsze byli dumni ze swej wsi. A jest to wieś niezwykła. Na tle innych okolicznych miejscowości odgrywała zawsze wiodącą rolę. Tak było przed II wojną , tak jest obecnie.

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte ubiegłego stulecia były okresem największego rozkwitu miejscowości. Gierałtowiec był siedzibą licznych instytucji, poczynając od samorządowej, którą była Gromadzka Rada Narodowa, poprzez te ewidentnie związane z rolnictwem: Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska", Warsztaty Mechaniczne przy Państwowym Gospodarstwie Rolnym, Kółko Rolnicze, Punkt Skupu Żywca, Punkt Skupu Mleka, Filia Banku Spółdzielczego. Życie wsi skupiało się zawsze wokół Szkoły Podstawowej.

Istotną rolę odgrywał też Wiejski Ośrodek Zdrowia. Ponadto funkcjonował tu Urząd Pocztowy, Biblioteka Wiejska i Świetlica. Były również placówki o charakterze usługowym: sklepy spożywcze, sklep gospodarstwa domowego, kiosk „Ruch", piekarnia i warsztat szewski.

W wyżej wymienionych instytucjach znajdowali zatrudnienie mieszkańcy Gierałtowca, okolicznych miejscowości ale również dojeżdżający z Legnicy, Złotoryi i Chojnowa. We wspomnianych latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wieś oferowała około 90 miejsc pracy.

Zamiarem zespołu redakcyjnego jest przypomnienie wymienionych instytucji. Przez wieki i lata czuło się, że brakuje tu kościoła; ten jednak mieści się w sąsiadującym z Gierałtowcem – Brenniku.

NA POCZĄTEK TROCHĘ HISTORII

Elementarny zarys historii osady

* Według rozpoznania archeologów okolice Gierałtowca były zaludnione już w okresie neolitu (ok. 1800 lat p.n.e.). Także z okresów nam bliższych badacze wydobyli świadectwa związane z ludzką działalnością, np. z epoki brązu – stare cmentarzyska, z mezolitu – wyroby krzemienne, z okresu kultury łużyckiej znaleziska są słabo rozpoznawalne.
* W dokumentach wieś wystąpiła po raz pierwszy dopiero w roku 1414 jako „Gerisdorf". Jest to nazwa rodowa i wskazuje ona, że zasadźcą (założycielem) wsi był, przybyły z Turyngii lub Frankonii, niejaki Gerhard. Jest więc wysoce prawdopodobne, że nieodnotowana nazwa pierwotna mogła brzmieć „Gerhardsdorf".
* Ani tubylcza ludność słowiańska (jeśli tu w czasie kolonizacji była), ani przybysze z Zachodu nie postawili kościoła; ani katolicy, ani protestanci. Inne elementy społecznej infrastruktury sukcesywnie się pojawiały: młyn, browar, szkoła itp.
*W okresie reformacji (na tym terenie od 1526r.), prawie cała ludność przeszła na protestantyzm i praktyki religijne odbywała w Lubiatowie, zaś nieliczni katolicy – w Brenniku.
* Lata 1552 – 53 to okres najtragiczniejszej w skutkach zarazy.
* Na początku XVII w. Gierałtowiec ma jeden z piękniejszych w okolicy pałaców z jego oryginalnym otoczeniem parkowym. Pałac jest w posiadaniu wybitnych rodów śląskich: von Richthofen, von Roedern i Stolberg, vonReuß, von Schönaich – Carolath.
* Ogromne zniszczenia w okresie wojny trzydziestoletniej (1618 – 48) oraz wojen napoleońskich (1806 – 13).
* W XVIII w. we wsi istnieje m.in. szkoła, folwark, 2 młyny, 47 domów.
* Liczba ludności w wybranych latach:
1797 – 324 mieszkańców
1830 – 430 mieszkańców
1845 -482 mieszkań i 70 domów
1927 – 338 mieszkańców
1939 – 913 mieszkańców z Brennikiem, Czortkowicami i Ernestynowem
2009 – 217 mieszkańców
* Od roku 1888 funkcjonuje poczta
* 4 II 1945 nad Gierałtowcem pojawiły się pierwsze radzieckie samoloty. Ludność ewakuuje się na podstawie zarządzeń władz niemieckich; powraca jeszcze w maju 1945, zaś pierwsze wysiedlenia na podstawie decyzji „wielkiej trójki", podjętej na konferencji w Jałcie i Poczdamie nastąpiły 18 lipca 1946r.

Poczta przed wiekiem

W 1888 r. Gierałtowiec otrzymał zezwolenie na prowadzenie agencji pocztowej, którą prowadzili dziadkowie znanego także w dzisiejszym Gierałtowcu Waldemara Niedergesäßa – kronikarza przedwojennego Giersdorf. W tym samym budynku jego dziadek miał również stolarnię. Jak, i jakie usługi świadczyła poczta w Gierałtowcu przed stu laty? Przy pomocy widocznego na zdjęciu ręcznego, dwukołowego wózka, przesyłki przywożono dwa razy dziennie z dworca w Wilczycach – i to bez względu na pogodę; 4 kilometry w jedną i w drugą stronę. Zatrudnionych było dwóch listonoszy, którzy dwa razy dziennie dostarczali pocztę – także telegramy - w następujących miejscowościach: Gierałtowiec, Brennik, Czortkowice, Podolany, Czeszków i Owczarki.

W latach 20. pocztę doręczano adresatom także w niedzielę. Widoczna na zdjęciu mała przybudówka z lewej była przedsionkiem do „okienka". Z uwagi na to, że klienci wpłacali także pieniądze, pomieszczenie służbowe na noc zabezpieczano silnymi deskami i metalowymi prętami. Od końca lat 20. trzy razy dziennie kursował pocztowy bus z Legnicy. Natomiast w latach 30. wycofano busy, a pocztę dowożono mniejszymi żółtymi (do dziś poczta niemiecka ten kolor zachowała) samochodami. Dodatkowym walorem tego rozwiązania było to, że

W obecnej posesji Gierałtowca nr 18 przed II wojną światową funkcjonowała poczta. Zdjęcie przedstawia dziadków kronikarza, dwóch listonoszy (z lewej i prawej) oraz pierwszy „pojazd" pocztowy.

taki samochód mógł zabrać trzech pasażerów. Agencja pocztowa funkcjonowała w tym samym budynku i na niezmienionych warunkach do wkroczenia oddziałów radzieckich.

Zarys zmian w rolnictwie powojennego Gierałtowca w ocenie Tadeusz Gajura.

Pierwsi polscy mieszkańcy osiedlili się na obrzeżach Gierałtowca, ponieważ w centrum wsi stacjonował garnizon rosyjski. Sztab garnizonowy mieścił się w pałacu (obecnie budynek Szkoły Podstawowej). Z dwóch stron wjazd do wsi był zamknięty szlabanami na rzece Lubiatówce.

Pierwsi osadnicy to mieszkańcy Podola – z terenów Ukrainy. Później osiedlali się repatrianci z Litwy i Białorusi, którzy wcześniej byli wywiezieni do Niemiec, jako robotnicy przymusowi.

Wiosną 1946 r. Rosjanie opuścili Gierałtowiec, w tym samym okresie zostali również wysiedleni Niemcy. Gospodarstwa oraz budynki mieszkalne zostały rozdzielone pomiędzy repatriantów. Jednemu gospodarstwu przydzielono od 4 do 8 hektarów. Siłą pociągową w tamtym okresie były konie oraz woły, których było niewiele.

W okresie 1946-1953 było około 40 gospodarstw rolnych. Rok 1953 był rokiem przymusowej kolektywizacji, co oznacza, że wszyscy zostali zmuszeni do oddania ziemi, budynków oraz zwierząt. Powstała wtedy Spółdzielnia Produkcyjna, która po trzech latach została rozwiązana, a sprzęt, ziemia oraz zwierzęta trafiły ponownie w ręce rolników. W roku 1956 powstała w Gierałtowcu Gminna Spółdzielnia z magazynami oraz sklepami spożywczymi w sąsiednich wsiach. W tym samym okresie funkcjonuje w Gierałtowcu Gromadzka Rada Narodowa (obecnie budynek nr 7: V. i A. Kiełbasów i Z. Baranowskiego).

Lata 60. to lata obowiązkowych dostaw płodów rolnych. Polegało to na tym, że na każde gospodarstwo został nałożony limit zwierząt oraz płodów rolnych, które gospodarstwa musiały sprzedać po zaniżonych cenach.

W 1960 r. powstało Kółko Rolnicze, a jego siedzibą był budynek już nieistniejący, który znajdował się naprzeciwko wjazdu do byłego PGR-u.

W latach 60. w Gierałtowcu jeden z rolników nabył ciągnik rolniczy, inni nadal posługiwał się końmi albo korzystali z usług Kółka Rolniczego.

W 1968 r. Gminna Spółdzielnia wybudowała magazyn zbożowy, powstał też punkt skupu zboża i żywca, obsługujący okoliczne miejscowości.

Lata 70. to lata dynamicznego rozwoju Gierałtowca, gospodarstw rolnych i całej wsi. Powstał Ośrodek Zdrowia (obecnie parter budynku nr 33). Rolnikom przydzielano ciągniki i inne maszyny rolnicze. Jest to okres tzw. gospodarstw specjalistycznych, specjalizujących się w produkcji mleka. Mleczarnia w Złotoryi wybudowała kilka zlewni mleka, w tym jedną w Gierałtowcu, gdzie rolnicy codziennie odstawiali mleko ze swoich gospodarstw (dziś budynek nr 46 E. Szwarockiej).

Dekada lat 80. to lata inflacji i kryzysu, jednak pomimo tych trudności wielu rolników nabyło kolejne ciągniki rolnicze; pojawiły się też pierwsze prywatne kombajny zbożowe, buraczane i ziemniaczane. Dalej dominowały gospodarstwa wielkości 4-16 ha jednak liczba gospodarstw zmalała do około 22. W 1989 r. Spółdzielnia Produkcyjna w Brenniku ogłosiła upadłość i ziemię wystawiono na sprzedaż, przez co część rolników powiększyła swoje gospodarstwa.

Lata 90. były latami likwidacji mleczarni w Złotoryi, i co za tym idzie, nastąpiły zmiany w profilu produkcji, zmniejszyła się opłacalność i nastała dalsza redukcja gospodarstw rolnych. Między 1992-1996 r. zostały zlikwidowane PGR-y; budynki i ziemia zostały wystawione do przetargu, powstały duże gospodarstwa rolne, nastąpiło duże zróżnicowanie w wielkości gospodarstw.

Problemy ze sprzedażą i opłacalnością produktów rolnych spowodowały dalsze zmniejszenie ilości gospodarstw rolnych, przez co w roku 2009. ich liczba wynosi 10 (gospodarstw utrzymujących się z pracy rolniczej).

Początek XXI wieku to okres, w którym wieś zaczyna się zmieniać pod względem estetycznym, powstają przydomowe ogrody ozdobne, zmienia się wygląd elewacji, ogrodzeń i zagród gospodarskich. W Gierałtowcu żyją i pracują ambitni, pracowici ludzie.

Ze wspomnień Stanisława Wilczopolskiego

Stanisław Wilczopolski tak mówi o sobie: „Jestem jedynym mężczyzną, który najdłużej mieszka w Gierałtowcu".

Pamięcią sięga do pierwszych dni lutego 1946 r., a miał wtedy 6 lat, kiedy w Płoskinowie kompletowano pociąg z repatriantami, był to tzw. eszalon. Wspomina:
„W pociągu staliśmy cały tydzień, wyjechaliśmy po 10, lutego. Wraz ze mną i moją mamą Kamilą jechali: Stanisław i Maria Szapował oraz ich synowie Bronisław i Stanisław, Kazimierz i Apolonia Tomusiakowie z córkami Bronisławą i Marią, Jan i Maria Starostkowie z córką Wiktorią oraz Jan i Aniela Kłaczowie. Wszyscy pochodziliśmy ze wsi Szaraweczka".

Podróż trwała cały miesiąc i 12, marca 1946 r. dotarli do Legnicy. Stanisław Wilczopolski pamięta, że w wagonie towarowym jechały przeważnie cztery rodziny.

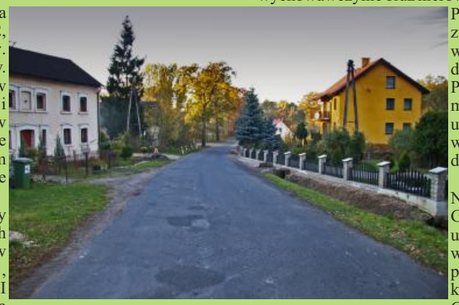

W Legnicy czekał na nich ojciec, Bronisław Wilczopolski, który służył w II Armii Wojska Polskiego i wraz z nią doszedł do Świnoujścia. Miał nawet ochotę tam się osiedlić, ale ostatecznie postanowił, że nie chce mieszkać nad morzem. W związku z tym przyjechał do Legnicy i czekał na rodzinę. Rodzice pana Stanisława oglądali różne wsie, w końcu przybyli do Gierałtowca i tu postanowili osiedlić się wraz z rodzinami Szapowałów, Tomusiaków, Starostków i Kłaczów. W Legnicy na rodziny czekali również: Jan Gajur i Wojciech Kowalczuk. Latem do Gierałtowca przybyli mieszkańcy z Greczan, a potem z terenów Białorusi.

Po przybyciu do Gierałtowca mieszkańcy Szaraweczki zastali w wielu domach Niemców oraz Rosjan. W domu nr 18 stacjonował dowódca jednostki rosyjskiej w stopniu majora, pod numerem 20 mieścił się sztab wojskowy, a w budynku nr 42 (obecna szkoła) była siedziba rosyjskiej jednostki samochodowej.

Stanisław Wilczopolski doskonale pamięta, że wieś była oszlabanowana z trzech stron i stały tam warty rosyjskie - po dwóch żołnierzy, a dwóch patrolowało wieś. Niemcy wyjechali w połowie listopada 1946 roku. Gdy zaś wieś opuścili Rosjanie, wprowadzono tzw. warty społeczne. Wartę pełnili kolejno mieszkańcy wsi (jeden pilnujący z dwóch gospodarstw) - w lecie od 22:00 do 4:00, a w zimie od 20:00 do 6:00. Pełnienie warty kontrolowała Milicja Obywatelska, która karała grzywną za niespełnienie tego obowiązku.

Działalność Gromadzkiej Rady Narodowej w Gierałtowcu opisuje Stanisław Wilczopolski

Po zakończeniu II wojny światowej, w latach 1945-1948 władzę sprawował Państwowy Urząd Repatriacyjny z siedzibą w Wojciechowie. W latach 1948-1950 Gierałtowiec przynależał do Gminnej Rady Narodowej w Strupicach.

Gromadzka Rada Narodowa w Gierałtowcu funkcjonowała od 1950 r. do 31 X 1973 r. Funkcję przewodniczącego GRN w Gierałtowcu pełnili: 1950-1954 – Władysław Tkaczyszyn, 1954-1965 – Andrzej Wolanin, 1965-1973 – Piotr Łojko. Sekretarzem Gromadzkim w latach 1965-1973 był Stanisław Wilczopolski.

W 1970 r. do GRN w Gierałtowcu dołączono wsie GRN w Brochocimie, a mianowicie: Łukaszów, Brochocin i Strupice. Na początku 1960 r. w GRN udzielano nawet ślubów cywilnych, czynił to przewodniczący Andrzej Wolanin.

W biurze GRN pracowali m.in. Stanisław Orłowski, Ludwika Orłowska, Bronisława Uroda, Bronisław Łojko, Bronisława Balul, Jadwiga Bandura, Eleonora Gąsior, Jan Michałków, Henryk Kuligowski,

W 1968 r. powstał żłobko-dzieciniec w Lubiatowie. Po połączeniu z GRN Brochocin były trzy żłobko-dziecińce: w Lubiatowie, Łukaszowie i Brochocinie.
Działały one przy PGR-ach; GRN zatrudniała wychowawczynie oraz kierowniczki, zaś PGR-y, obsługę kuchni, zapewniały lokale i wyżywienie. Oprócz dzieci pracowników PGR-ów do placówek mogły także uczęszczać dzieci ze wsi. Były to żłobko-dziecińce całodzienne.

Gromadzka Rada Narodowa w Gierałtowcu utrzymywała świetlice wiejskie, biblioteki lub punkty wymiany książek. Na terenie GRN w Gierałtowcu funkcjonowało pięć szkół:
w Gierałtowcu, Lubiatowie, Brochocinie, Łukaszowie, Strupicach. Przeprowadzano remonty szkół – corocznie bieżące, zaś gruntowne remonty prowadził Wydział Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Złotoryi. Zaopatrywano szkoły w opał i środki bieżącego utrzymania. Zabezpieczano też wynagrodzenia dla pracowników szkół, bibliotek, świetlic, przedszkoli.

Na wniosek opiekunów społecznych (byli tacy w każdej wsi) GRN wypłacała zasiłki stałe i okresowe osobom potrzebującym.

W 1972 r. GRN w Gierałtowcu wykonała dokumentację wsi Gierałtowiec, a także na powstanie ośrodka rekreacyjnego z dwoma odkrytymi basenami, boiskami i innymi obiektami towarzyszącymi. Projekt nie został zrealizowany z uwagi na likwidację GRN w Gierałtowcu.

Pieniądze w wysokości 300 tys. zł przekazano Gminie Złotoryja i zostało wykonane oświetlenie wsi.

Członkami Prezydium Gminy Złotoryja byli:
Piotr Łojko, Leokadia Wróbel, Stanisław Wilczopolski,

Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" widziana oczyma Mieczysławy Błażejowskiej

Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Gierałtowcu, pierwotnie w Strupicach, powstała w sierpniu 1946 r. z inicjatywy członków Gminnego Związku „Samopomoc Chłopska" w Strupicach, takich jak; Ignacy Lewandowski, Karol Sowa, Jan Brzyski, Michał Pawlus oraz innych członków tego związku.

Zadaniem GS było powołanie sklepów spółdzielczych. Najpierw powołano sklep w Strupicach i Wojciechowie. „Ciężkie to były czasy na rozpoczęcie działalności. GS nie miała siedziby – pomieszczeń na biura, brakowało pieniędzy, więc werbowano nowych członków GS, nie było też pracownika, który zająłby się zaopatrzeniem sklepów" – wspomina Zygmunt Tryszpiot.

Władze Gminy Strupice uznały, że najlepszą siedzibą GS będzie Gierałtowiec, położony najbliżej stacji kolejowej w Wilczycach. Siedzibą Spółdzielni został budynek zamieszkany przez Bronisława Ziembickiego, który wraz z rodziną zamieszkał w innym budynku. Społeczny zarząd podjął starania celem zatrudnienia pracowników do zaopatrzenia sklepów, pierwszym był Kazimierz Fabian. Kolejne sklepy powstały w Gierałtowcu i Lubiatowie. Zakupiono parę koni i przyczepę.

Zarząd spółdzielni nie był stabilny, nie odpowiadał za jej rozwój, dlatego też w latach 1949-50 Centralny Zarząd Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" podjął uchwałę o zatrudnieniu zarządu wybieranego na okres nie mniejszy niż cztery lata. Miał to być zarząd stale urzędujący. Pierwszym prezesem został, wybrany na walnym zebraniu Stanisław Błaszczyk, który pełnił tę funkcję do 1953 r. Następnym prezesem został Michał Szapował (1953-54), a od 15 I 1954 r. do 31 I 1965 r. – Zygmunt Tryszpiot. Ostatnim prezesem (1965-66) był Jan Susło.

W roku 1966 nastąpiło połączenie GS Gierałtowiec z GS Złotoryja. Połączenie to nastąpiło w związku z nowym podziałem administracyjnym kraju.

Największy rozwój spółdzielni przypada na lata 1956-1958. W Gierałtowcu Spółdzielnia posiadała budynek administracyjny, w którym było biuro, świetlica, magazyny, a także magazyn opałowy, magazynu skupu płodów rolnych (zboża, ziemniaków), punktu skupu żywca, piekarni (obecnie nr 39 B. Skalskiej), baru, sklepu spożywczego, sklepu wielobranżowego (był to budynek nr 31, dziś nieistniejący). Ponadto posiadała sklepy w Brochocinie, Lubiatowie, Strupicach, Brenniku, Łukaszowie oraz bar w Brochocinie.

Spółdzielnia do okresu urynkowienia gospodarki była mocno związana z rolnikami, członkami spółdzielni, prowadząc skup płodów rolnych i żywca oraz zaopatrując rolników w środki do produkcji rolnej, tj. pasze, nawozy, opał, środki ochrony roślin, a także artykuły spożywcze i przemysłowe, pieczywo z własnej piekarni, prowadziła również wypożyczalnię naczyń stołowych.

Sytuacja finansowa rolników i spółdzielni zawsze była ze sobą ściśle powiązana, bo rolnicy byli i są nie tylko członkami spółdzielni, ale przede wszystkim klientami. Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna rolników w latach 90., w okresie transformacji gospodarki, w praktyce oznaczała zmniejszenie zakupów także w placówkach spółdzielni. Brak również w tym okresie uregulowań w skupie zbóż; pojawienie się nowych podmiotów skupujących zboże doprowadziło do znacznego zmniejszenia skupowanego zboża. Wszystkie te czynniki miały wpływ na znaczne ograniczenie działalności Spółdzielni na terenie gminy.

Cdn.

Materiał o wsi zgromadzili i opracowali mieszkańcy Gierałtowca: Z. Baranowski, W. i T. Gajurowie,R. Grygorcewicz, A. Karwan, V. i A. Kiełbasowie, L. Markowska, M. Masłowska, W. Pająk, J. Piętoń, E. Sowa, U. Szapował, Z. Tryszpiot, M. i St. Wilczopolscy, D. Wilk – pod kierunkiem Marii Szapował oraz A. Michlera.

Po co wchodzić na Wilkołaka?

Środa, 30 września, godzina dziesiąta, młodzież i ich opiekunowie z Ośrodka Szkolno - Wychowawczego im. Janusza Korczaka w Złotoryi, gotowi do wymarszu. Kierunek: Wilcza Góra. Cel: poznajemy historię, geologię, przyrodę i znaczenie gospodarcze Wilkołaka. Powód: organizator Międzynarodowej Sesji Popularnonaukowej, tj. Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej uważa, że młodzież powinna uczestniczyć w tym ważnym dla naszego środowiska wydarzeniu.

Propozycję goszczenia u siebie uczniów bardzo życzliwie przyjmuje dyrektor kopalni bazaltu COLAS, pan Stanisław Zieliński.

- Proszę pani, po co my tam idziemy? Przecież wszystko o Wilkołaku wiemy - pyta jeden z uczniów.

- Tam jest rezerwat przyrody - podpowiada drugi.

- Kruszą bazalt na drogi - dodaje następny wycieczkowicz.

Swoisty plebiscyt wiadomości uczniów na temat Wilczej Góry trwa prawie całą drogę. Wchodzimy na teren zakładu. Bardzo mile wita nas inżynier Janina Kołacz - Cisielska, kierownik ruchu zakładu górniczego. Pani inżynier krótko i rzeczowo objaśnia młodzieży, co to jest wyrobisko, zapoznaje z kolejnością czynności górników, wskazując jednocześnie miejsca poszczególnych etapów ich prac. Młodzież z zainteresowaniem słucha, jak dochodzi do strzelania, skutkiem którego uzyskuje się materiał do przeróbki.

- Teraz idziemy zobaczyć tę przeróbkę - zaprasza pani inżynier.

Koparki, ładowarki, kruszarki, taśmociągi w pełnym ruchu. Uczniowie obserwują pracę ludzi i maszyn ze specjalnego stanowiska.

Następny etap wędrówki po Wilkołaku nie ma nic wspólnego z produkcją. To miejsce szczególne, rezerwat przyrody. Pan Bogusław Cetera w kilku zdaniach opowiada uczniom, jak na początku XX wieku eksploatowano właśnie z tego miejsca kamień, który później wagonikami zwożono w rejon tego miejsca, gdzie dzisiaj jest restauracja *Ewelinka* i poddawano urobek obróbce. Po II wojnie światowej w tym miejscu już nie wznowiono produkcji. Wyrobisko i jego świat przyrody został nienaruszony. Zarządzeniem Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego z dniem 1 kwietnia 1959 roku miejsce to zostało uznane za rezerwat przyrody, obejmujący powierzchnię 1,69 hektara. Rezerwat zawiera część bazaltowego wzniesienia wraz z odsłonięciem *róży bazaltowej*. Pani inżynier dodaje, że chcąc ochronić rezerwat, kamień eksploatowano z kolejnych pokładów (jakby na zapleczu rezerwatu), które od wierzchołka do obecnego poziomu wydobycia mają w sumie wysokość stu metrów. Każdy z eksploatowanych poziomów ma tak zwaną półkę zabezpieczającą i chroniącą główny szczyt przed osunięciem się kamienia.

Wszystkie informacje o Wilkołaku młodzi przyjmują z ogromną uwagą stwarzając wrażenie, że dopiero teraz uzmysłowili sobie w jakim ważnym miejscu się znajdują, a ich hasłowe wiadomości nabierają innej treści. Uczniowie dowiadują się też, od jak dawna Wilcza Góra jest im przyjazna. W latach siedemdziesiątych istniejący tu zakład był opiekunem ich szkoły, czego dowodem jest szkolny sztandar ufundowany przez ówczesną dyrekcję i pracowników zakładu. Teraz dyrekcja i pracownicy zakładu COLAS zaofiarowali im życzliwe przyjęcie przygotowując jednocześnie ognisko i kijki do pieczenia kiełbasek.

Od początku istnienia zakładu do zakończenia wycieczki o nasze bezpieczeństwo dbał pracownik bhp pan Leszek Kłodnicki.

Przy ognisku pan Andrzej Frąckiewicz wzbogaca uczniów w wiedzę o wulkanach, o wszystkich procesach i zjawiskach związanych z ich powstawaniem oraz istnieniem.

Organizatorzy tej szczególnej lekcji widząc, jak uczniowie fotografują interesujące ich obiekty

przemysłowe oraz przyrodę, zachęcili, aby swoje odczucia i wrażenia wyrazili w formie rysunków, opowiadań lub wierszy i przekazali te materiały do siedziby TMZZ. Tym samym wezmą udział w dokumentowaniu tego, co w naszej małej ojczyźnie jest piękne i ważne.

Ryszarda Cetera
zdjęcia: Bogusław Cetera

Aby się kształtem stała chwila

Złotoryjski Ośrodek Szkolno-Wychowawczy słynie z działań integracyjnych. Wielokrotnie miałam okazję uczestniczyć w różnych formach, przygotowanych przez nauczycieli i wychowawców placówki. Niezapomniane chwile spędziły dzieci ze złotoryjskich placówek opiekuńczych w ogrodzie Ośrodka (wspaniale przygotowane stanowiska do działań artystycznych, popisów sprawnościowych, zgadywanek). Zadbano o sponsorów, którzy sypnęli jadłem i napojami dla uzupełnienia utraconych kalorii.

Do dzisiaj dzieciaki przechowują w pamięci wspaniałe występy i własne popisy podczas zabawy z dziećmi z Ośrodków ościennych w gościnnie otwartych podwojach placówki nad złotoryjskim zalewem. Właściwie chyba zawsze i na każdą okazję można zaprosić wychowanków Ośrodka, a oni – pod kierunkiem swoich nauczycieli - przygotowują deklamacje i zachwycające popisy śpiewacze. Ci młodzi artyści są skromni, otwarci, serdeczni i bardzo uzdolnieni.

ABY SIĘ KSZTAŁTEM STAŁA CHWILA, pod takim tytułem 15 października br. w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Złotoryi odbyła się akademia z okazji Dnia Edukacji Narodowej. W pięknie udekorowanej i cieplutkiej sali (na przekór deszczowej aurze) rozpoczęła się wspólna zabawa. Właściwie uroczystość była w całości podniosła i dostojna, ale chwilami jakiś chochlik hulał po sali - artyści i widzowie prowadzili dialog; zagadywano, dogadywano, często wybuchano gromkim śmiechem, a głośne brawa świadczyły o aprobacie konwencji spotkania.

Wspaniale prezentowali się uczniowie w koncercie życzeń. Były piosenki, wiersze i...NIESPODZIANKA. Samorząd Uczniowski przeprowadził Wielką Galę-2009.

Do MEDALU UŚMIECHU nominowano Pawła Gorczycę, Agnieszkę Śladewską, Lucynę Kortus, Lucynę Rajczakowską, Edytę Kielnar, Monikę Palonkę, Katarzynę Warszawską i Elżbietę Biedak. Zwyciężył Paweł Gorczyca.

Do MEDALU PRACOWITOŚCI nominowano Rafała Skibickiego, Lucynę Kortus, Monikę Palonkę, Mariolę Mileszko, Alinę Buchę, Janinę Wanicką , Marzenę Stryczek i Adriannę Wolską-Banaszyńską. Zwyciężyła Marzena Stryczek.

Do MEDALU ZAUFANIA nominowano Pawła Gorczycę, Monikę Palonkę, Waldemara Adamowicza, Waldemara Markowskiego, Edytę Opałę, Annę Dziubę i Annę Pacholską. Zwyciężył Waldemar Adamowicz.

Do MEDALU PRZYJAZNA DUSZA nominowano Adriannę Wolską-Banaszyńską, Marzenę Stryczek, Barbarę Stefanowicz, Pawła Gorczycę, Dorotę Banaszek, Janinę Wanicką i Lucynę Kortus. Zwyciężyła Janina Wanicka.

Do MEDALU ELEGANCJI nominowano Waldemara Adamowicza, Rafała Skibickiego, Janinę Wanicką, Annę Kowalską-Kostkę, Lucynę Kortus, Adriannę Wolską-Banaszyńską, Monikę Palonkę i Marzenę Stryczek. Zwyciężyła Lucyna Kortus.

Do MEDALU za DONOŚNĄ MOWĘ – MEDALU ORATORA nominowano Monikę Palonkę, Annę Dziubę i Dorotę Kosińską. Zwyciężyła Monika Palonka.

Na tę przemiłą szkolną uroczystość przybyli z życzeniami w formie występu uczestnicy grupy teatralnej Klubu Seniora (op. Bożena Gmerek) i Gimnazjum nr 2 (op. Bogumiła Bachór). Artyści zaprezentowali scenki rodzajowe za pomocą gestów, stroju i odpowiednio dobranej muzyki w tle. Mam nadzieję, że to nowe zjawisko teatralne rozwinie się i dostarczy wiele radości i pozytywnych przeżyć przyszłym widzom.

Spotkanie zakończyła wicedyrektor Anna Kowalska-Kostka dziękując za życzenia, prezentacje i obecność.

Fotografowała i opisała Danuta Sosa.

Święto Wina i Miodu Pitnego

Drzewa zrzucały jesienne liście o barwach złota, niebo dźwigało ołowiane chmury, aby im ulżyć, deszcz skrapiał drogi prowadzące do Grodźca, kędy wił się Agroturystyczny Szlak Winno - Miodowy. Na dziedzińcu zamkowym przechadzały się białogłowy i mężowie w średniowiecznych strojach, gdzieś tam w zaułku na ognisku gotowała się strawa złośliwie drażniąc swym zapachem nosy biesiadników o pustym żołądku. Kramy bałamuciły białogłowy piękną biżuterią, wykonaną przez cynowego rzemieślnika Karla Heinza Krausa, który przybył z dalekiej krainy, co się Halle zowie. Ów rzemieślnik przedstawił mi, jak czynić cynkowe odlewy. Najprzód trzeba rysunek wykonać, formę wygrawerować, w łupkach gładko, otwory nawiercić, razem dwa kamienie połączyć, przez otwory wlać cynę, odczekać aż zastygnie i cudeńka gotowe. Jak rzekł już 15 lat tym się para i na bochen chleba mu starcza. Zabrał ze sobą rodzinę i przyjaciół. A działo się to nie w średniowieczu tylko 11 października 2009 r. Grupa rzemieślników niemieckich rozbiła swe namioty na dziedzińcu Grodźca, naśladowali oni ludzi z okresu średniowiecza i wczesnego renesansu reprezentując najniższą warstwę społeczną. Dlaczego? - Aby być samowystarczalnym i wiernie odtworzyć epokę. Był to przemyślany wybór, mogą zajmować się gotowaniem, rąbaniem drewna na ognisko, praniem bielizny, tkaniem na warsztatach ozdobnych taśm do sukien. Rycerzom i książętom te zajęcia nie przystawały. Czy ktoś widział księcia gotującego strawę?.

W sąsiedztwie kowal wykuwał „podkowy szczęścia", aby wzmocnić fortunę, imiona dodawał.

Woskowe rzeźby, świece zapachowe, miód szkłem otulony to pszczół zasługa pieczołowicie zbierających miód z łąk zielonych zdobnych w kwiaty pachnące. Waćpanna z grodu Gola Wąsoska zwanym przybyła, by nam miód sprzedać. A zwała się Wiktoria Kowalczuk, jej pasieka to „Wiki" dźwięcznie brzmiąca. W gronie pszczelarzy nie ma wielu kobiet, sama ustawia ule, powiada, że nie jest sztuką je ustawić, sztuką jest zebrać jak najwięcej. Wiedza zdobyta na szkoleniach przydaje się w praktyce. Posiada 24 rodziny pszczele, wśród nich przeważają kraińskie i włoskie. Zbiera miód rzepakowy, wrzosowy, gryczany, preferuje ten pierwszy. W ubiegłym roku choroba pasożytnicza zdziesiątkowała pszczoły, ale w tym roku przyniosły miodu z nawiązką. Kiedy natura zasypia otulając się śnieżnym puchem, pszczoły też tuli do snu, wtedy u pani Wiktorii rozpoczyna się okres twórczy -jak twierdzi - najmilsza praca, pomysły przelewa w wosk, pędzelki i farby idą w ruch. Powstają kolorowe rzeźby, pachnące miodnym woskiem świece.

Dębowe antałki z płynnym gronem bacznie spoglądały na gości, zachęcając do skosztowania. Napojem należy się delektować w wytwornym szkle na przykład z kielicha Tiffaniego. Od 20 lat pan Żabko obleka kielichy, kieliszki ozdobną miedzianą taśmą lutując ją do szklanej powierzchni. Traktuje to zajęcie jak hobby, nazywając siebie witrażownikiem. Wcześniej był muzykiem, tworzył muzykę do spektakli teatralnych, po wypadku zajął się witrażem płaskim. Kielichy są ze szkła wysokiej jakości (holenderskie), muszą posiadać cechy wysokiej topliwości, jeśli w strukturze jest pęcherzyk powietrza, to świadczy o kruchości, i przy nakładaniu ozdoby ulegnie pęknięciu. Sztuka nie jest łatwa, niewiele osób wystawia Tiffaniego, jak na razie nie ma dużej konkurencji. Sprzedaję po cenie autorskiej, aby każdego było stać - mówi artysta

Na środku dziedzińca gawiedź ciepłem z ogniska się zagrzewała, pieczoną kiełbasę kosztowała nalewką popijając. Tymczasem w zamkowych salach zabawa trwała w najlepsze, muzyka i pląsy łączyły wszystkich w zabawie, polskie przyśpiewki mieszały się z greckimi, włoskimi, rosyjskimi. To był koncert na sto dwa! Pielgrzymiankom wtórowały Czaplanki , Polanki, Macierzanki, muzykanci przygrywali do rytmu. Z Rzeszówka w gościnne mury zamkowe z koncertem przybył Zespół „Leśne Echo" umilając chwile biesiadnikom. Po tańcach można było się ugościć specjałami przygotowanymi przez gospodynie. Farma „Pod strusiem „ polecała, smaczny i zdrowy ser kozi. Ozdobą sali biesiadnej były obrazy malarki Jadwigi Dyląg i Wandy Leśniak wykonane różną techniką. Od olejnej do „haftu krzyżykowego". Można było kupić olejny „ Zamek Grodziec", „Twarz Chrystusa niczym z całunu" w hafcie krzyżykowym, i wiele innych. Pan Kasztelan, jako gospodarz zapraszał gości do zwiedzania zamku, a było co oglądać. Pięć wieków rywalizowało ze współczesnością. Wśród zabytkowego łoża, kufrów, stołu i krzeseł nie opodal okien stały w kamiennym zaklęciu rzeźby w piaskowcu wykonane przez pedagogów i studentów z pracowni rzeźby Wydziału Sztuki Uniwersytetu w Ostrawie oraz Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. I ja tam byłam, miód kupiłam, a kto nie był, niech żałuje. To zaledwie mały wycinek tego, co na Grodźcu się wydarzyło, nadmienię, że miód i wino łało się aż dwa dzionki 10 i 11 października tegoż roku.

Jana Kałuża i Anna Chrzanowska

Europejskich Dni Dziedzictwa ciąg dalszy

W poprzednim numerze naszego czasopisma zdaliśmy sprawę z pierwszych imprez, zorganizowanych przez TMZZ w ramach tegorocznych Dni Dziedzictwa, którym towarzyszyło hasło *Zabytkom na odsiecz! Szlakiem grodów, zamków i twierdz.* Wiemy już, że TMZZ uczestniczyło w nich jako jedyna złotoryjska organizacja.

Niedzielę 13 września przeznaczyliśmy na wycieczkę rowerową do Rzymówki. Wieś słynie głównie z dobrze zachowanego średniowiecznego grodziska z VIII-IX wieku, przypisywanego plemieniu Trzebowian, a także za Źródełka św. Jadwigi, XVIII-wiecznego pałacu oraz dębów posadzonych z okazji 1000-lecia wsi, obchodzonego w 2005 r. W wycieczce uczestniczyło 9 osób dorosłych, pod kierunkiem Agnieszki Młyńczak oraz niżej podpisanego. Po drodze grupa zatrzymała się przy grodzisku i kościele św. Jadwigi w Wysocku, w samej Rzymówce zwiedziła Izbę Regionalną (oprowadzała Sołtys Wiesława Lizoń), kończąc wyprawę ogniskiem.

19 września do Grodźca wybrało się rowerami 12 osób, dalsze cztery dotarły w inny sposób bezpośrednio na wzgórze zamkowe. Byli wśród nich uczniowie Gimnazjum nr 1 w Złotoryi. Trasa wiodła przez Uniejowice i Mniszą Górę. W zamku skorzystano z gościny kasztelana Zenona Bernackiego, który oprowadził grupę po zabytku oraz wspomógł siły rowerzystów rycerskim posiłkiem. W drodze powrotnej, przez Zagrodno, Uniejowice i Wojcieszyn, zwiedzano zabytki tych miejscowości.

W wycieczce rowerowej do Rokitnicy w dniu 20. września uczestniczyło 10 osób dorosłych. Trasa prowadziła Ścieżką św. Jadwigi ze Złotoryi przez Kopacz. W Rokitnicy zapoznano się z zabytkami miejscowości: oprócz ruin zamku księcia Henryka Brodatego (zachował się fragment budowli, zwany tradycyjnie „kaplicą św. Jadwigi"), znajduje się tutaj m.in. kościół p.w. św. Michała Archanioła, krzyż pokutny oraz źródełko św. Jadwigi. Postanowiono, że TMZZ skieruje, głównie na ręce Wójta Gminy Złotoryja, pismo, postulujące turystyczne zagospodarowanie terenu zamkowego z okazji 800-lecia nadania Złotoryi praw miejskich.

W Rokitnicy planujemy zorganizowanie w 2011 r. X Powiatowego Dnia Regionalisty, w którego organizację włączy się tamtejsza Szkoła Podstawowa oraz Szkoła Podstawowa nr 3 w Złotoryi im. Henryka Brodatego.

Roman Gorzkowski

VIII Powiatowy Dzień Regionalisty

18 września 2009 r. odbył się w Jerzmanicach-Zdroju kolejny Powiatowy Dzień Regionalisty pod honorowym patronatem Starosty Złotoryjskiego. Organizatorzy: Publiczna Szkoła Podstawowa w Jerzmanicach-Zdroju, Zakład Poprawczy w Jerzmanicach-Zdroju oraz Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej przygotowali dla uczestników wiele atrakcji związanych z regionem. Obchody rozpoczęły się w kościele p. w. św Antoniego, gdzie uczestnicy wysłuchali prelekcji Alfreda Michlera pt. „O historii i zabytkach Jerzmanic-Zdroju – archiwalne fotografie i widokówki". Ciekawe wydarzenia, miejsca związane z historią i teraźniejszością wsi, przedstawione w multimedialnej prezentacji, na pewno wzbogaciły wiedzę o naszej ziemi. Opiekunowie grup otrzymali na pamiątkę materiały promujące region przygotowane przez TMZZ.

Kolejnym punktem programu było zwiedzanie wystaw: Tomasza Jana Kośmidra „Jerzmanice-Zdrój w malarstwie", „Osiągnięcia uczniów Publicznej Szkoły Podstawowej – dyplomy i medale" oraz eksponatów prezentowanych przez Koło Łowieckie TUMAK. Rodzice uczniów oraz przedstawiciele Grupy Odnowy Wsi Jerzmanice-Zdrój przygotowali słodki poczęstunek dla wszystkich uczestników.

Pogoda sprzyjała spacerowi prze wieś, podczas którego Alfred Michler i Roman Gorzkowski przedstawiali walory historyczno-przyrodnicze miejscowości.

Zakończenie spotkania miało miejsce na boisku sportowym w dolinie Kaczawy. Tutaj na wędrowców czekały ogniska przygotowane przez Sołtysa Edwarda Jańca oraz wychowanków zakładu poprawczego. Wszyscy miło biesiadowali przy akompaniamencie gitarowym Andrzeja Jankowskiego.

W tegorocznym Dniu Regionalisty wzięło udział ponad 250 osób z całego powiatu, w tym przedstawiciele szkół podstawowych ze Złotoryi (SP 1, SP 3, Społeczna Szkoła Podstawowa), Radziechowa, Wilkowa, Pielgrzymki, Sokołowca, Nowego Kościoła i Jerzmanic-Zdroju; gimnazjów z Wilkowa, Złotoryi (Nr 1, Nr 2, Gimnazjum Społeczne), Liceum Ogólnokształcącego i Zakładu Poprawczego, Biblioteki Miejskiej w Złotoryi. Obecni byli członkowie TMZZ-u, przedstawiciele Urzędu Gminy, Urzędu Miasta, mieszkańcy wsi. Niewiele poprzednich Dni Regionalisty zgromadziło aż tylu uczestników.

Organizatorzy dziękują sponsorom i osobom wspierającym imprezę: Wioletcie Zając, Monice Małeckiej, Edwardowi Jańcowi, Marii i Bronisławowi Kufel, Leszkowi Szpali, Zbigniewowi Jurewiczowi, Aleksandrowi Didenkow, Andrzejowi Jankowskiemu, rodzicom uczniów Publicznej Szkoły Podstawowej w Jerzmanicach-Zdroju, Grupie Odnowy Wsi Jerzmanice-Zdrój, Urzędowi Gminy w Złotoryi oraz Starostwu Powiatowemu w Złotoryi.

Irena Ratyńska, Kinga Maciejak, Beata Kuba

W pradziejach

Szkice na 800-lecie - cz. I.

Szybkimi krokami nadchodzi jubileusz naszej miejscowości. Abyśmy jak najpełniej zdali sobie sprawę z tego, co stało się w 1211 r. (oraz wcześniej) spróbujemy w kilku odcinkach przybliżyć najważniejsze wydarzenia. Zamierzamy poświęcić je kolejno: czasom prehistorycznym, Kopaczowi, genezie Złotoryi oraz nadaniu praw miejskich. We wszystkich częściach przewijać się będą czynniki miastotwórcze, które odegrały tutaj najważniejszą rolę. Wyjaśnimy, na czym polegała w średniowieczu tzw. lokacja..

Dolina Kaczawy od najdawniejszych czasów była ważną arterią komunikacyjną łączącą Sudety i ich przedpole. Wzdłuż niej przemieszczały się właściwie bez przerwy gromady naszych przodków, a od około 35 tysięcy lat temu już homo sapiens. Około 5 tysięcy lat później zamieszkałe były okolice Wojcieszowa, być może również jaskinie tych okolic. Jeszcze w epoce kamienia, ale już około 12-8 tys. lat temu, ludzie zatrzymywali się na dłużej na terenach późniejszego Nowego Kościoła, o czym świadczą liczne narzędzia, odkrywane przez archeologów. Od około 8 do 5 tysięcy lat temu osadnictwo istniało także np. w rejonie Jastrzębnika. Kamienne narzędzia odkryto też m.in. w Jerzmanicach-Zdroju, Wilkowie i na zboczach Wilkołaka. Z epoki brązu (od ok. 1200 l. p.n.e.)

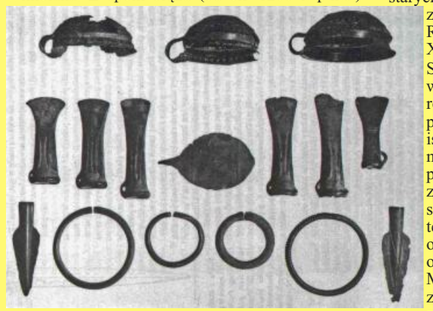

szczególne znaczenia mają znowu znaleziska z Jerzmanic-Zdroju, przede wszystkim skarby, zawierające kilkadziesiąt wyrobów z brązu. Najprawdopodobniej w tej epoce istniało tutaj cmentarzysko ciałopalne. Według niektórych badaczy już w epoce brązu mogły być eksploatowane złoża rud miedzi, znajdujące się w okolicy Złotoryi. W dolinie Kaczawy i niektórych jej dopływów leżą one blisko powierzchni ziemi a np. na polach w okolicach Biegoszowa archeolodzy natrafili na wiele okruchów rud miedzi. Na przełomie epoki brązu i żelaza powstała na szczycie Czerwonego Kamienia (nad Nowym Kościołem) obronna osada, być może pierwsza w naszych okolicach.

Od przełomu er do VI-VII wieku miał miejsce zanik osadnictwa na Pogórzu Kaczawskim ale w VIII wieku Dolny Śląsk zasiedlili całkowicie Słowianie. Z następnego stulecia pochodzą najstarsze znaleziska wczesnośredniowieczne z okolic Złotoryi. Stosunkowo dużo danych posiadamy na temat kolejnych osiedli obronnych, czyli grodów. Były one powiązane z organizacją plemienną panującą na Śląsku od VII-VIII wieku. Większość badaczy przypuszcza, że dorzecze Kaczawy stanowiło siedziby plemienia Trzebowian (choć wciąż trwają dyskusje na ten temat). W każdym razie najpóźniej w IX/X wieku istniały ważne dla naszej historii grody w Rzymówce, Wysocku i Rokitnicy a także najprawdopodobniej w Nowym Kościele. Przyłączenie Śląska do państwa piastowskiego, dokonane przez Mieszka I około 990 r., spowodowało między innymi utratę znaczenia starych grodów plemiennych, ale w XI wieku zapewne rezydował już kasztelan w Grodźcu. Rejon Złotoryi podlegał jednak zapewne od XII wieku kasztelanii legnickiej.

Spróbujmy krótko podsumować powyższe wiadomości. Wynika z nich z pewnością, że rejon naszego miasta znany był naszym przodkom już od epoki kamienia. Bardzo istotne znaczenie dla rozwoju osadnictwa miała Kaczawa oraz bogactwa naturalne, z początku ważniejsza była zapewne miedź niż złoto. Nie mamy jednak dowodów na to, a szkoda, że w epoce kamienia czy brązu na terenie dzisiejszej Starówki istniała jakaś osada (lub osady) o charakterze otwartym lub obronnym. Choć np. Wilkołak czy Góra Mikołaja mogła stanowić dogodny teren do założenia grodu, to takowego, w świetle znalezisk i powierzchniowych badań archeologicznych, tutaj nie było. Wszystko rozstrzygnie się „dopiero" we wczesnym średniowieczu, lecz Ziemia Złotoryjska nie była wówczas pustynią, ale terenem o bardzo starych tradycjach osadniczych.

Roman Gorzkowski

800-lecie - list otwarty

Złotoryja, 19.10.2009 r.

Pan Ryszard Raszkiewicz
Starosta Złotoryjski

Pan Ireneusz Żurawski
Burmistrz Miasta Złotoryja

Pani Maria Leśna
Wójt Gminy Złotoryja

oraz Mieszkańcy miasta Złotoryja

Informujemy uprzejmie, że odbyło się kolejne posiedzenie Zespołu, który Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej powołało w celu przedstawienia propozycji przedsięwzięć, które – według nas – powinniśmy zorganizować dla godnego uczczenia rocznicy 800-lecia nadania praw miejskich Złotoryi.

Obchodzenie każdej rocznicy jest w naszym życiu wydarzeniem i świętem, a rocznica 800-lecia dla miasta i jego mieszkańców ma duże znaczenie i charakter szczególny. Złotoryja to pierwsze polskie miasto, które otrzymało nowoczesne prawa magdeburskie. My złotoryjanie mamy za sobą burzliwą historię, jesteśmy miastem o pięknej tradycji górnictwa złota, miedzi, bazaltu. Dotychczas zawsze staraliśmy się je pielęgnować najlepiej jak tylko potrafimy.

I wreszcie tu w Złotoryi żyjemy i mieszkamy! Jest nas ok. 17 000. To właśnie tutaj mamy swoje domy, szkoły, zakłady pracy, urzędy i wszystkie niezbędne instytucje.

Tak więc wszyscy razem będziemy organizować Jubileusz 800-lecia, aby mieć zadowolenie i w trakcie obchodów, i długo po ich zakończeniu. Powinno nas w czasie Jubileuszu odwiedzić wielu znakomitych gości, ponieważ będzie to największe w obecnym stuleciu święto naszego miasta.

Poniżej przedstawiamy propozycje przedsięwzięć, które w naszej ocenie dodałyby Złotoryi uroku, atrakcji i powagi.

Oczywiście nie jesteśmy w stanie zorganizować wszystkiego sami ani nie uważamy, aby lista propozycji, które przedkładamy, była już zamknięta. Przedstawiamy nasze projekty do dyskusji mieszkańców w celu ich oceny, a także zapraszamy wszystkich zainteresowanych: mieszkańców, urzędy i instytucje do wspólnego działania. Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zrealizuje tylko kilka pomysłów, ale wyrażamy gotowość współuczestniczenia w urzeczywistnieniu także innych projektów. Bowiem inne zadania realizują już, jak wiemy, i będą podejmować w przyszłości różne instytucje, organizacje i środowiska mieszkańców.

Zwracamy się z uprzejmą prośbą do zainteresowanych mieszkańców, stowarzyszeń i instytucji, aby do końca listopada 2009 r. zechciały odpowiedzieć na nasze propozycje w tej ważnej sprawie i określiły się, w jakim zakresie oczekują współpracy lub pomocy ze strony Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Będziemy również wdzięczni za informację o planach i realizacji własnych pomysłów przez złotoryjskie firmy i instytucje.

Informujemy, że około połowa przygotowanych przez nas propozycji przekracza możliwości realizacyjne i kompetencje naszego stowarzyszenia. Poddajemy je właśnie dlatego pod dyskusję i będziemy wdzięczni za ich ocenę i uzupełnienie przez Adresatów niniejszego pisma.

Do programu propozycji inicjatyw na 800-lecie pozwalamy sobie dołączyć 2 przykładowe, wypełnione karty z już realizowanymi zadaniami.

W imieniu zespołu autorów
Prezes TMZZ Aleksander Borys

PROPOZYCJA PROGRAMU TMZZ OBCHODÓW 800-LECIA NADANIA ZŁOTORYI PRAW MIEJSKICH
ZADANIE: Odnowienie tablic informacyjnych na ścieżce św. Jadwigi (kamienie, tablice, drzewka)
REALIZATOR/ODPOWIEDZIALNY/INSTYTUCJA/OSOBA: TMZZ
OSOBA: UG
TERMIN: 2010
UWAGI: .....

PROPOZYCJA PROGRAMU TMZZ OBCHODÓW 800-LECIA NADANIA ZŁOTORYI PRAW MIEJSKICH
ZADANIE: Ustawienie tablicy przy wjeździe do Złotoryi informującej o 800-leciu miasta.
REALIZATOR/ODPOWIEDZIALNY/INSTYTUCJA/OSOBA: PPU Stonespol
OSOBA: UG, TMZZ, UM
TERMIN: 2010
UWAGI:

Program przedsięwzięć podjętych w celu uczczenia jubileuszu 800-lecia nadania Złotoryi praw miejskich (Propozycje)

1. Wydanie dwóch publikacji o Złotoryi.
2. Odtworzenie na mapie trasy dawnej młynówki z uwzględnieniem wszystkich młynów i innych obiektów napędzanych wodą (wydanie folderu).
3. Historia Złotoryi w ośmiu tomach dotycząca ośmiuset lat historii.
4. Organizacja sesji popularnonaukowej.
5. Przedstawienie teatralne o nadaniu Złotoryi praw miejskich.
6. Nakręcenie filmu o instytucji nadawania praw miejskich magdeburskich.
7. Promocja Złotoryi w kraju i za granicą przez organizację wystawy 800-lecia na złotoryjskich planszach.
8. Zakończenie budowy projektowanej ścieżki rowerowej (I pętla wokół Wilczej Góry).
9. Ustawienie tablicy (o wymiarach około 3x4m) przy wjeździe do Złotoryi informującej o 800-leciu Złotoryi.
10. Porządkowanie Złotoryi.
11. Wybudowanie parkingów.
12. Zorganizowanie historycznego korowodu na otwarcie i zakończenie uroczystości 800-lecia. Organizacja widowisk plenerowych w mieście oraz na Wzgórzu Zamkowym w Złotoryi.
13. Zorganizowanie 3-4 wykładów na temat praw miejskich, w tym Złotoryi.
14. Wybicie okolicznościowej monety.
15. Częściowa rekonstrukcja piastowskiego zamku w Rokitnicy i zabezpieczenie przed dalszą dewastacją.
16. Przyjęcie przez UM i RM perspektywicznego planu odzyskiwania budynku ratusza.
17. Umieszczenie na gmachu ratusza pamiątkowej tablicy.
18. Próba udostępnienia zwiedzającym grodziska w Wysocku.
19. Wystąpienie do protestanckich parafii w Niemczech w Sandkrug i Bergrdorf w sprawie zwrotu Kościołowi NNMP dwóch zabytkowych dzwonów w stulecie ich zabrania ze Złotoryi.
20. Wystąpienie do prawosławnej parafii w Królowym Moście w sprawie zasad zwrotu dzwonu Kościołowi NNMP.
21. Wydanie publikacji pt. „Złotoryjanie". Sylwetki powojennych złotoryjan (Autor: A. Michler, ok. 100 osób, obj. 100 stron).
22. Wydawnictwo „Rokitnica".
23. Odnowienie tablic informacyjnych na ścieżce św. Jadwigi (kamienie, tablice, drzewka).
24. Wznowienie folderu n/t. ścieżki św. Jadwigi.
25. Wystąpienie do właściwych władz w sprawie zorganizowania Muzeum Ziemi Złotoryjskiej pod auspicjami Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej lub przyznania w r. 2011 Ośrodkowi TMZZ statusu „Muzeum Ziemi Złotoryjskiej".
26. Wykonanie rzeźb w drewnie p.n. „Siedmiu ostatnich mieszczan" (wystawione w czasie Bożego Narodzenia na skwerku Kościoła NNMP lub przed ratuszem).

Zapomniane - odszukane

Złotoryjskie wieszaki

Niektóre z nich służą nam do dzisiaj, zaś część zalega gdzieś głęboko w szafach, a mowa o złotoryjskich wieszakach.

W zbiorach złotoryjskich kolekcjonerów można odnaleźć kilka rodzajów wieszaków z różnych sklepów z przedwojennego Goldbergu. Jeden ze sklepów udało nam się odnaleźć na przedwojennej pocztówce. Dom Mody (Modenhaus) J. Seiferta, o

którym mowa, znajdował się w kamienicy na rogu ulicy Żeromskiego i Rynku, obecnie znajduje się tam sklep AGD-RTV. W oknach można zauważyć manekiny reklamujące ubrania tegoż sklepu

Odnaleźliśmy również reklamę innego sklepu, który znajdował się w dolnej części rynku. Georg Wenger polecał hurtową i detaliczną sprzedaż skór i

cholewek, wszelkich rzeczy i narzędzi przydatnych szewcom, preparatów do czyszczenia obuwia, a także najwyższej jakości gumowych obcasów.

Z napisów na wieszakach wywnioskować można, że bardzo wiele sklepów, a z pewnością

każdy handlujący np. odzieżą, dysponował niegdyś wieszakami z nazwiskiem właściciela i nazwą lokalu. Trafiały także do różnych instytucji i mieszkań prywatnych. Dzisiaj są te wieszaki nie tylko świadectwem minionej epoki lecz również kupieckich tradycji, sposobu reklamowania swoich towarów a zarazem rzemieślniczych zdolności.

Przemysław Markiewicz, Waldemar Dmitrowski

Warto przeczytać

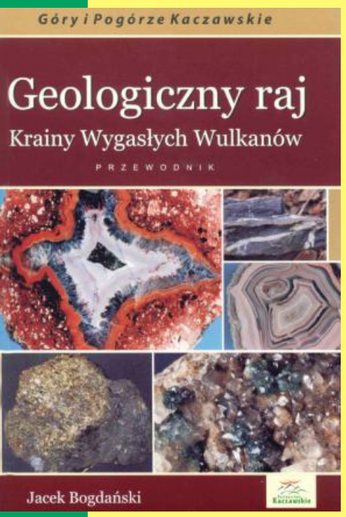

Nic na to nie poradzimy, że żyjemy jak na wulkanie. Przewodnikiem Jacka Bogdańskiego *Geologiczny raj Krainy Wygasłych Wulkanów* Stowarzyszenie Kaczawskie zaprasza do bliższego poznania miejsc obfitujących w ciekawe minerały. Kolejne rozdziały poświęcono agatom, minerałom w eksploatowanych i nieczynnych kamieniołomach, wyrobiskach i kopalniach oraz odsłonięciom terenowym ujawniającym na przykład złoto. Z najbliższych nam terenów opisano Leszczynę, Nowy Kościół i Wilkołak (tutaj jednak autor nazywa całe wzniesienie Wilcza Górą a rezerwatowi daje nazwę „Wilkołak", choć na zamieszczonej mapce nie popełnia tego błędu). Bogato ilustrowany tekst uzupełniają wskazówki, jak kolekcjonować minerały, słowniczek terminów geologicznych i mineralogicznych, tabela stratygraficzna oraz bibliografia.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Złotoryjska zima piechura Władysława

W oczekiwaniu na kolejną białą zawieruchę przenieśmy się wraz z prezentowaną widokówką do 1916 r. W lutym tegoż roku fizylier Władysław Kuberka, odbywający służbę w naszym garnizonie, tak pisał do Słupii koło Jarocina (zachowujemy oryginalną pisownię): *Moji Kochani Rodzice. Donosze wam isch jestem zlaski Pana Boga zdrowy. To samo sie ot was spodziewam. Co tam Nowego. A tak mi długo nie pisalyście tata. Puznie wam list naPische. Z Wysokiem Szacunkiem syn Władysław.* Nie znamy dalszych losów nadawcy, miejmy nadzieję, że nasz rodak przeżył wojenny kataklizm.

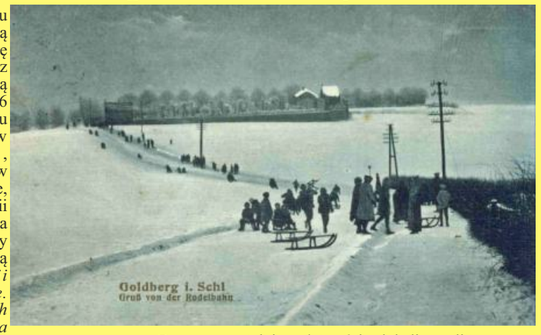

Zapewne czytelnicy z łatwością zlokalizowali tor saneczkowy, który pozwalał nieco zapomnieć o trudach tamtych czasów. Drugi z dawnych takich obiektów prowadził zboczami Wilczej Góry. Dzisiejsi młodzi złotoryjanie muszą zadowolić się chyba jedynie krótką sanną zejściem nad zalew od strony ul. Bobrzańskiej.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Dawnych rozbiórek czar...

Gdzieś w Złotoryi w latach sześćdziesiątych a może później. Ślady po ciasnej niegdyś zabudowie, kilku robotników usuwających kolejną ruderę. Jaki to dokładniej fragment miasta? Co istniało później w pobliżu tego miejsca na tej ulicy, jak wygląda ono teraz?

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

grysy bazaltowe
STONESPOL
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023